

AS
Nr. 7
12 LUTEGO 1939 R.
CENA 40 GROSZY
JEDZIEMY NA FIS!

# KASYNA I WIELCY LUDZIE

## ANTONI WYSOCKI

### S Z K I C

Swego czasu kasyna we większych miastach przedwojenej Polski, w Krakowie, Lwowie, Poznaniu i Warszawie, grały w życiu umysłowem tych miast jeśli nie pierwsze, to liczne drugie skrzypce. Tam komitety różnych jubileuszów, obchodów, pochodów i uroczystych przemówień obradowały nad formami i szczegółami tych przedsięwzięć. Zanim powstał osobny, formalny komitet jubileuszu Kraszewskiego, sprowadzenia prochów Mickiewicza do kraju, obchodu rocznicy zwycięstwa Sobieskiego pod Wiedniem, rocznicy Grunwaldzkiej i innych obchodów, to z kasyna, szła pierwsza myśl i najprzód dyskretnie, później w prasie i obradach Rady Miejskiej poruszała i do zamierzonego celu prowadziła opinję. W każdem z tych miast, zależnie od warunków politycznych ówczesnych zaborów, inaczej. Więc jawnie, szumnie, reprezentacyjnie w Galicji, konspiracyjnie w Warszawie i Poznaniu.

Należeli, zbierali się na „rodaków rozmowy" przy herbacie i preferansie.

Projektowali.

W Krakowie przewodniczył prezes kasyna Koła literacko-artystycznego, komedjopisarz Michał Bałucki i wiceprezesi, historyk August Sokołowski i Kazimierz Bartoszewicz historyk i satyryk, który w lata później darował miastu Łodzi swą bibljotekę, galerję obrazów i zbiór autografów.

Oni i inni, miłośnicy kultury, profesorowie, redaktorzy, adwokaci, lekarze, inżynierowie, urzędnicy, literaci, aktorzy. Wszyscy, których praca tworzyła umysłowość ogółu.

Z Zakopanego, gdzie osiadł po gorzkich rozczarowaniach warszawskich, wpadał do Krakowa Stanisław Witkiewicz, malarz i krytyk, pionier nowych prądów w sztuce.

Gdy go komplementowano, odrzekł żartem:

— Nie uwierzę, dopóki koło littracko-artystyczne nie wyda na moją cześć składkowego bankietu.

Takie też w Warszawie znaczenie miała, nie wyłącznie towarzyskie, Resursa Kupiecka. Znakomity historyk-gawędziarz Aleksander Kraushar, napisał tej resursy sporą monografję.

We Lwowie życie Kasyna Miejskiego nie ograniczało się do obrad i przygotowań różnych uroczystości, ani do kart, plotek i zabaw w karnawale. Miało pod kierunkiem prezesa Vogla, publicysty i estety, i przy uczestnictwie poety Rosowskiego i historyka Rollego, ambicje teatralne. Rozporządzało trupą aktorów-amatorów, sceną z dekoracjami i kurtyną, a przedstawienia sztuk teatralnych, pod opieką rutynowanych reżyserów, dawały artystyczne satysfakcje.

Nawet w małych miastach chóry śpiewacze, różne Harfy i Lutnie, wieczory deklamacyjne i teatry amatorskie, najruchliwiej w Wielkopolsce, wzmagały czucie duchowe i ożywiały nudę zapadłych kątów. Szkoda, że dziś zmniejszyły się i obniżyły te zainteresowania, w przeciwieństwie do roli zespołów amatorskich zagranicą, w Niemczech i we Włoszech.

Wtedy, o ile w zaborze austrjackim, gdy po powstaniu w roku 63-cim i erze szykan policyjnych, stawianych społeczeństwu polskiemu przez urzędników Czechów i Niemców, wolno było zakładać związki o charakterze oświatowym, artystycznym i sportowym, na podstawie zatwierdzonych przez władze statutów, to w Królestwie wskutek drakońskich praw administracyjnych i klauzul cenzury, mógł, obok teatru i prasy, poczynać metodyczny ruch w sprawach kultury raczej jeden człowiek.

Takim w Warszawie był pan Grosman, właściciel składu fortepianów, menażer przedsięwzięć wokalnych i muzycznych, potrochu mecenas. Na jego porankach i wieczorach występowali młodzi, niejednokrotnie sławy lokalne, a jak Paderewski, sława o wielkoświatowych blaskach. Honorarja ich (dawne czasy!) jakże śmieszne wydają się teraz — 20 rubli od występu.

Aktor Rygier spotyka Paderewskiego na ulicy.

— Przycisnąłem Grosmana do muru i podwyższył mi honorarjum na 30 rubli.

— Co? — dziwi się Paderewski. — Dziękuję za wiadomość. To i mnie musi podwyższyć. Mam podarte buty. No nie! Ale prawie. Już się kończą w mej gonitwie za lekcjami.

Gonił w Warszawie za lekcjami, a po odbyciu kursów wirtuozowskich u profesora Leszetyckiego we Wiedniu i żmudnej pracy doszedł do mety ten wielki Polak i sława światowa.

Znów po latach Rygier, wówczas dyrektor Teatru Polskiego w Poznaniu, spotyka Paderewskiego na ulicy, tym razem w Berlinie.

— Gdyby pan raczył dać koncert w Poznaniu? w teatrze? — prosi nieśmiało.

— Najchętniej. Kiedy? Pozwoli pan, wejdźmy do bramy. Sprawdzę, jak rozporządzam czasem.

Przegląda notatki.

— Gram w Brukseli, w Liverpoolu. Więc proszę, zatelefonuj pan do Londynu.

Podaje adres, termin.

— Przyjadę.

— Napewno?

— Panie! Wielkopolsce służę każdej chwili. A panu? — śmieje się Paderewski. — Pan pomógł mi w podwyżce u Grosmana, dzięki czemu kupiłem sobie nowe buty.

Przyjechał.

Na dworcu w Poznaniu oczekiwali go, imieniem społeczeństwa wielkopolskiego, Ferdynad Radziwiłł, prezes Koła Polskiego w Berlinie, Kościelski z Miłosławia, członek Izby Panów, posłowie Czartoryski, Dziembowski, Seyda. O bilety w kasie „dobijatyka", nie tylko Polaków z miasta i ze wsi, ale Niemców, przybyłych umyślnie z Niemiec, gdzie Paderewski nie koncertował, a od czasu wrogiej Polakom malborskiej mowy cesarza Wilhelma II w przejeździe nie zatrzymał się.

Ceny za bilety podwyższone, podwójne.

— Żałuję — mówił Rygier po koncercie — że nie dałem potrójnych. Telegrafowałem do Paderewskiego, czy mogę dać ceny podwyższone? — Odpowiedział: „jeszcze po zniżonych nie grywam".

— Co to za wieńce? — pyta mistrz, idąc przez kulisy do fortepianu na scenę. — Prosiłem, żeby nie było wieńców.

— Nie — zapiera w żywe oczy dyrektor. — To nie dla pana.

Sala wstała.

Wieńce, mowy, dyrekcja teatru wręcza wieniec i... batutę dyrygenta.

— Dobrze, że były wieńce — zwierza się po koncercie pani Helena Paderewska. — Ignaś nie chciał, ale byłoby mu przykro, gdyby ich nie było.

Mistrz dziękuje.

Dziękuję panu za batutę. Wieńców mam jak lodu, ale nikt mi dotychczas nie dał batuty...

Mniej uznania, może po trochu i słusznie, odczuł w Warszawie pewien ziemianin z pod Wilna.

— Kochasiu — zagaduje portjera w Hotelu Europejskim. — Kto u czarta bębni tu po nocach na fortepianie? Spać nie mogę.

— To pan Paderewski — szepce poufnie portjer. — Przed koncertem.

— Pan Paderewski...

— Ależ kochasiu! Mam z żoną bilety na ten koncert, ale w nocy chcę spać.

Na obronę ziemian trzeba wspomnieć, że gdy Paderewski przebywał w swym majątku Kąśna w Galicji i nikogo w domu nie przyjmował, to Stefan hr. Zborowski z Jankowej podkradał się nocą pod ogród, aby słuchać gry tego mistrza nad mistrze. Raz ledwo że entuzjastę uchroniła służba od zajadłości psów, poczem Paderewski rozczulony, zaprosił Zborowskiego do dworu i ugościł kolacją i grą, swą grą najcudniejszą.

Talenty towarzyskie Paderewskiego, wdzięk, żarty, ofiarność, skromność i blask jego ducha zachwycały, onieśmielały, czarowały.

Bywając w Krakowie, odwiedzał dom Władysława Żeleńskiego kompozytora i dyrektora konserwatorjum, ojca Tadeusza (Boya) i wuja Kazimierza Tetmajera. Mimo, że w rozmowie swobodny był i skłonny, jak Chopin, do psot, goście państwa Żeleńskich zapominali „języka w gębie".

Podobne wrażenie czynił Sienkiewicz.

Na ulicy rozpoznawano go z portretów, przystawano w miejscu i gapiono się w osłupieniu.

Tak i na liczniejszych zebraniach prywatnych.

Tłumnie, gwarnie, bywało na słynnych w Warszawie i Polsce piątkach u doktora Benniego. Cała elita, literatura, sztuka i nauka, reprezentowana w salonie doktora, przedyskutowywała bieżące kwestje kulturalne i polityczne.

Gdzie dziś te „salony"?

W te wieczory piątkowe dogadać, dosłuchać się nie było można. Naraz cisza „jak makiem siał, cisza, aż w uszach dzwoni", jak taką ciszę skamieniałą uwydatniało w pismach Jego pióro.

Co się stało?

To on wszedł do salonu i milcząco, podaniem ręki, witał zebranych.

Małomówność Sienkiewicza na większych zebraniach była niemal przysłowiową. Za to w małem kółku, w redakcji „Gazety Polskiej" dawniej, u przyjaciół Dynowskich, na polowaniach na wsi, podczas pozowania do biustu w pracowni rzeźbiarza Romana Lewandowskiego, rozmawiał ochoczo, z niespodziewanym u niego, romantyka, krytycyzmem.

Krytycyzm jego, o jasnowidzących perspektywach historycznych, przejawiał doniosłe poglądy polityczne, ozłocone niezłomną wiarą w przyszłość Polski.

Mówił z humorem.

Naprzykład raz wypowiedział uwagi na temat, co o Słowackim może myśleć c. k. urzędnik austrjacki we Wiedniu.

Jak trafnie i dowcipnie!

Było tak, że rząd niemiecki, zaintrygowany projektem sprowadzenia prochów Słowackiego do kraju, zapytywał rząd austrjacki, co to znaczy? Kto był Słowacki? Ministerstwo spraw zagranicznych we Wiedniu wystosowało przez ministerstwo spraw wewnętrznych do namiestnictwa we Lwowie odpowiednie zapytanie. Za przedmiot dla odpowiedzi miały posłużyć jako materjał, bo opowiedź musiała być wyczerpująca, artykuły w prasie, przemówienia na wiecach młodzieży i studja naukowe, krytyki. Otóż urzędnik namiestnictwa, który to referował z pełną godnością Polaka dał odpowiedź na zapytanie o poecie. Jednak rząd centralny nie zadowolił się tą odpowiedzią i zażądał bardziej szczegółowego sprawozdania, a t w kierunku stosunku Słowackiego do Rosj

*Dokończenie na str. 20-tej.*

**ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY**

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62. 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

# AS

**ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY**

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU NA LITWIE 45 CT.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

**Numer 7** **Niedziela, 12 lutego 1939** **Rok V**



*Fot. W. Pikiel — Warszawa*

Imieniny Pana Prezydenta R. P. dają rokrocznie najszerszym sferom społeczeństwa okazję wykazania swej głębokiej czci dla Włodarza Polski, to też i w tym roku napłynęły do pałacu w Spale, w którym Pan Prezydent przebywał, liczne delegacje chcące złożyć Mu imieninowe życzenia. Na naszem zdjęciu Pan Prezydent wita się z włościanką w barwnym stroju łowickim, która Panu Prezydentowi wyraża życzenia w imieniu swej okolicy.

# Pałace w krainie śniegu



Widok Hotelu Turystycznego T. T. N. na Kalatówkach od strony Suchego Żlebu.

Każda impreza o charakterze ogólnokrajowym czy międzynarodowym — zmusza państwo, które daną imprezę przygotowuje — do jednorazowego, lecz bardzo intensywnego wysiłku finansowego na zagospodarowanie tej czy innej miejscowości, w której ta impreza ma się odbyć — i przygotowanie jej na przyjęcie gości.

W Polsce, która musiała zajmować się przez wiele lat odbudową gospodarczą — inwestycje turystyczne, rzecz prosta, odsunięte były na plan dalszy. Pierwszym zwiastunem rozbudowy ośrodków turystycznych w Polsce i inwestycyj turystycznych na wielką skalę — była kolej linowa na Kasprowy Wierch w Zakopanem. Budowa ta spowodowała uporządkowanie Zakopanego w paru punktach. Następne inwestycje, o których będzie mowa — kazały temu ważnemu ośrodkowi sportów zimowych podciągnąć się znowu wzwyż...

Po budowie kolei linowej na Kasprowy, Krynica zyskała wyciąg linowy na Górę Parkową. FIS — którego organizacja przypadła w tym roku w udziale Polsce — zbliżył i przyspieszył gwałtownie zamierzenia inwestycyjne wszelkiego rodzaju na terenie Zakopanego. Pomijając już będącą w opracowaniu nową trasę kolei elektrycznej do Zakopanego i szybko ostatnio postępującą budowę nowoczesnej drogi asfaltowej z Krakowa do tegoż uzdrowiska — w Zakopanem podjęto przeprowadzkę dworca kolejowego pod Gubałówkę, uporządkowano i wyasfaltowano cały szereg ważniejszych arteryj, pobudowano betonowe mosty, założono nowoczesne oświetlenie ulic, ułożono chodniki, przebito nowe, szerokie arterje komunikacyjne, wybudowano wielki, piętrowy garaż samochodowy wraz ze stacją obsługi, ukończono budowę wyciągu linowego na Gubałówkę wraz z budynkiem restauracyjnym na szczycie, wybudowano nowoczesny hotel-schronisko na Kalatówkach, łącząc go ze „światem" — wygodną i szeroką drogą, zmontowano wyciąg saniowy na Kasprowy, przebito kilka zjazdów dla narciarzy, ukończono budowę olbrzymiego stadjonu z trybunami na kilkanaście tysięcy osób na Krokwi, sprofilowano nową, bodaj najpiękniejszą skocznię w Europie — bo leżącą w całości w terenie, zagospodarowano stadjon zimowy i obudowano tyrbunami tor lodowy, na którym niedawno odbyły się mistrzostwa w jeździe figurowej parami.

Wymienione tu inwestycje, jakkolwiek najważniejsze, nie dają jeszcze całokształtu wysiłku, który obejmując pomniejsze pozycje, a czasem nawet drobiazgi — uczynił z Zakopanego miejscowość o olbrzymiej sile atrakcyjnej — porządkując wiele rzeczy, leżących odłogiem od niepamiętnych czasów.

* * *

Aby opowiedzieć o rozmachu inwestycyjnym w Zakopanem i przedyskutować wszystkie wartości wspomnianych w szalonym skrócie nowych objektów — trzebaby napisać spory tom. W otoczeniu górskich olbrzymów, każdy nowy szczegół zabudowy zakopiańskiej doliny jest ważny, posiada pierwszorzędne znaczenie. Łatwo jest budować nowe miasta na równinie. Ale na tle dzikiej scenerji nieujarzmionych gór — trzeba umieć gospodarować.

Tutaj z uznaniem trzeba powiedzieć, że wszystko co zrobiono, z małemi i błahemi tylko wyjątkami — należy do zamierzeń udałych. A jak łatwo było o operetkę — niech świadczy tak nic nie znaczący szczegół, jak latarnie uliczne — zawieszone na... ciupagach!

Do najważniejszych dokonań zaliczyć trzeba: wyciąg na Gubałówkę, hotel na Kalatówkach oraz skocznię narciarską i stadjon u jej stóp. Do tych też pozycyj pragnę się tu ograniczyć. (Kolej linowa na Kasprowy i obserwatorjum — omawiane były już wielokrotnie i znane są w najdrobniejszych szczegółach całej Polsce).

* * *

Któregoś dnia, późną jesienią wsiadłem do wagonika wyciągu na Gubałówkę.

Wtedy chodził jeden dopiero wózek. Na drugim końcu liny spacerował w górę i w dół wagonik roboczy, wożący szczyt paryskiego masztu jako balast. (Obecnie jest on zmontowany obok kawiarni na Gubałówce).

Właściwie nie zapowiadało się nic ciekawego. Chmury wisiały nisko — uczepione w połowie skalistych złomów Tatr. Wsiadłem do wagonika, zatrzasnąłem drzwi. Stacja dolna jeszcze nie wykończona, pachniała świeżym betonem. W błocie obok toru stał drugi wagonik, kawały masztu z przed pawilonu polskiego w Paryżu, paki, rumo-

Poniżej: Przed budynkiem kawiarni na Gubałówce.



wisko. Usłyszałem dzwonki i wagonik ruszył. Szybko poszedł w górę. Ani się spostrzegłem, jak stacja zamieniła się w zabawkę. Zakopane systematycznie zapadało się w dół. Chmurne góry rosły coraz wyżej. — W połowie drogi zrobiło się trochę chłodniej i biało od śniegu. Zielona, błotnista dolina zakopiańska nabierała z każdą chwilą uroków rozpostartej mapy plastycznej.

Jeszcze trochę... Szyby zaszły parą oddechów. Wagonik zwolnił i wtoczył się pod dach stacji szczytowej. Stanęliśmy na miejscu. Hm... bardzo łatwo. Pamiętam, ile musiałem się napracować, będąc małym chłopcem — by Zakopane legło mi u stóp — jak teraz...

Obok wyjścia aparaty sygnałowe i telefony, regulujące ruch. Mokry śnieg chlapał pod nogami. Z perspektywy paru kroków można już było objąć wzrokiem całość budynku ze stromym dachem peronu.

O kilkadziesiąt kroków dalej stoi budynek kawiarni. Przestronny z wielkiemi oknami, zwróconemi na góry i Zakopane. Nie było to wtedy jeszcze wszystko gotowe. Ale dawało pojęcie o całości. Już wtedy (w czem



Kominek w jednej z sal Hotelu na Kalatówkach. Komin zdobi ceramika ludowa.

upewniłem się później) uderzał wielki smak z jakim opracowano szczegóły — przy jednoczesnym nadmiarze tych szczegółów. W rezultacie projektodawcy wnętrz pp. W. Hryniewicz, Z. Kotyński i E. Szparkowski — stworzyli całość nie harmonijną, nie spokojną, ale w fragmentach, w maleńkich ensamblach kilku przedmiotów zaledwie naraz obserwowanych — smaczną i zajmującą.

Spokoju gór nie powinno się przeciwstawiać nagromadzeniu faktur, cacek i śliczności. I dlatego kawiarnia wieczorem wygląda znacznie ciekawiej — chociaż po wyjściu z niej — zdziwieniem napawa, że się jest na górze, z której prowadzi w dół taka długa i stroma droga.

Wprost po „wylądowaniu" na peronie dolnej stacji wyciągu na Gubałówkę — wsiadłem do autobusu. Kilkanaście minut drogi nowemi i nieznanemi mi jeszcze ulicami — zaprowadziło mnie do bram skoczni na Krokwi. Oczywiście nie poznałem tego miej-



Fragment pokoju w Hotelu na Kalatówkach.

sca. Na nowo sprofilowana skocznia, całkowicie została „wbudowana" w teren. Jest to jej największy plus, jeśli idzie o walory zewnętrzne. Skocznia nie posiada stromego rozbiegu, zawieszonego na rusztowaniu. Cały jej przekrój idzie po spadzistości terenu, który odpowiednio przekopano i usypano.

Po obu stronach skoczni rozbudowano trybuny, które kończą się amfiteatralnie wznoszącemi się miejscami dla stojących. Zakończenie zeskoku w postaci olbrzymiego płaskiego stadjonu, obudowane zostało przez architekta Mączyńskiego stylowemi trybunami — zakończonemi w dwu punktach stycznych domkami, pilnującymi wejścia. W budynkach tych zainstalowano lożę prasową, oraz kabiny dla rozmów telefonicznych. Można tam, na skoczni rozmawiać wprost z Paryżem, Berlinem, Londynem czy Nowym Jorkiem.

Skocznia wraz z trybunami robi imponujące wrażenie. Nie potrzeba było betonu, ani gigantycznych ścian. Natura i rozmach architekta, który zamknął zeskok olbrzymim i harmonijnym pierścieniem z drzewa — działają tak silnie na widza, jak to jest potrzebne, aby mógł on poznać i ocenić ogrom i furję podniebnego lotu skoczka-narciarza.

Skocznia na Krokwi była niedawno jeszcze — punktem, do którego trudno było trafić — punktem, do którego brnęło się po wertepach. Dziś leży ona na skrzyżowaniu dwu nowocześnie i szeroko pomyślanych arteryj, które wyrąbano w lesie. Tu w przyszłości rosnąć będą nowe reprezentacyjne pensjonaty i być może niedługo już ten zakątek Zakopanego stanowić będzie nową, ciekawą dzielnicę.

Hotel na Kalatówkach, to jedna z najważniejszych tegorocznych inwestycyj Zakopanego. Do Kuźnic, pod stację kolei linowej na Kasprowy — dojechałem autobusem. Stąd



Wejście do restauracji w Hotelu na Kalatówkach. Na ścianie ornamenty z kutego żelaza.

trzeba było już piechotą, po mokrym śniegu dreptać dość stromą drogą ku górze.

Drogę, którą ku Kalatówkom wyrąbano — łatwo można pokonać pieszo. Wyjedzie nią także zaprzęg konny. Nie odpowiada ona jednak wszystkim typom autobusów. Do tej też pory nie uruchomiono jeszcze połączenia samochodowego Zakopane—Kalatówki.

Hotel na Kalatówkach wybudowano w 150-ciu dniach. Pomimo wielu trudności hotel stanął na czas. Inżynier Jaworski — projektodawca hotelu na Kalatówkach — zrobił



Sala kawiarniana w Hotelu na Kalatówkach

wiele, aby zachować umiar i aby stworzyć proporcje godne powagi otoczenia. Fakturowo oba fronty budynku dostroił do dwu różnych gatunkowo ścian górskich, będących tłem dla murów budynku.

Wnętrza hotelu — przestronne i rzeczowo zagospodarowane, stanowią jedną harmonijną całość. Uderza w nich celowość dążeń artystycznych i prostota. Wnętrza te — począwszy od pokoju gościnnego a skończywszy na hallu, czy salach restauracyjnych, prezentują spokojny, nieomal zamaskowany luksus — daleki od krzykliwych efektów, często spotykanych w nowoczesnych budowlach.

Hotel na Kalatówkach uprzystępnia narciarzom doskonałe zjazdy, zapewnia prawdziwy odpoczynek w majestatycznem ustroniu, dostarcza wspaniałych widoków. Zarówno w lecie, jak i w zimie stanowić on będzie punkt oparcia dla tych, którzy chcą być daleko od krzykliwych Krupówek i pozwoli ludziom współżyć blisko z naturą, nie pozbawiając ich jednocześnie nowoczesnego komfortu i wygody. I to są właśnie istotne plusy tej inwestycji.

Ten snobistyczny typ hotelu-schroniska górskiego okazuje się dziś niezbędnym dla każdego ośrodka turystycznego — liczącego się z napływem gości nie tylko krajowych, ale przedewszystkiem turystów zagranicznych.

Z Kalatówek wdół schodzi się łatwo. Nogi same niosą. Tu gdzie przed rokiem przemykać się trzeba było wąską kamienistą ścieżką — prowadzi szeroka wstęga drogi. Jeszcze dwa zakręty. W dole już widać Kuźnice, maszty kolei linowej, drewniane barjery na zakrętach szosy, szeroki zajazd pod stacją...

Wagonik wyciągu linowego na Gubałówkę.






Kominek w hallu hotelu turystycznego na Kalatówkach.

Czytelnia w restauracji na Gubałówce.



Zakopane przeżywa metamorfozy, które wyciskają głębokie piętno na tej do niedawna „prowincjonalnej stolicy zimowej". Dziś Zakopane nie jest już tą poczciwą starą stacją klimatyczną, do której zjeżdżali entuzjaści gór. Jest ono obecnie niezmiernie ważną pozycją w bilansie naszych dokonań i atutem i propagandzie Polski zagranicą. — Nie można tylko zapominać, że nie wszystko jeszcze jest zrobione, że droga ku pełnemu osiągnięciu jest jeszcze daleka, i wreszcie, że każdy grosz wydany na turystykę w Polsce odsłania tak upragniony przez zagranicę egzotyzm pięknego i tak egzotycznego kraju, jakim jest Polska.

Zwolna zaczyna szarzeć. Czarne chmury wiszą nisko. Tu i ówdzie zapalają się światła. Szybko mknącym autobusem wracam ku centrum udekorowanego odświętnie Zakopanego.

# KUBUŚ

**ANATOL KRAKOWIECKI**

Był mały, jak pięść. Oczywiście, jak pięść boksera. Był osowiały, smutny i miał zamiar umrzeć. Zamiar ten doprowadził mnie do wściekłości. Albowiem dałem za niego cały mój ówczesny majątek w wysokości 3 szóstek i 5 centów. Chłopacy, którzy mi go przynieśli, byliby nawet więcej ode mnie wyłudzili za niego, gdyby... No, na szczęście, miałem pewien konflikt w domu z powodu szybki, ale to zupełnie małej szybki wystawowej (bodaj, czy nie pierwszej w miasteczku), która w sposób idjotyczny stłukła się pod — co tam „pod" — twierdziłem, że szyba pękła ze strachu przed kamieniem, który w jej stronę leciał, ale bezwarunkowo nie doleciał. Otóż domowe stosunki nie były perłowe.

— Wiecie, kupiłem jastrzębia!

— Co ty mówisz? Jak się nazywa? Pokaż go.

Bractwo zaciekawiło się — zarzucono mnie pytaniami.

— Tak jest, kupiłem, bardzo tanio: za 3 szóstki i 5 centów. Taki jastrząb kosztuje conajmniej 2 korony — mówiłem dumny.

— Czy nie łżesz?

— No, już mi możecie wierzyć, znam się na zwierzętach! Miałem puhacza? Miałem. Miałem zaskrońce? Miałem. Miałem przepiórki?

— Ale ci zaraz uciekły...

— Sam je puściłem. Jak tylko wyszły z jajka, to w nogi...

— Jakże, puściłeś je! Myślałeś, że je trzeba będzie w wacie chować, jak kurczęta...

— Jak indyczki...

— A one w nogi! Byliśmy przy tem. Sam widziałem, jak jedno małe z kawałkiem skorupy na plecach wyrwało w sad.

— Już idę — odrzekłem.

— Idź. Ale ja to mam zapisane — odpowiedział Janek. A jak on miał coś „zapisane", to było święte.

Wobec tego czułem, że nie wypada mi się obrazić w obliczu tak niezbitych dowodów. Zostałem.

— A jak się nazywa?

Zarumieniłem się. Trochę z gniewu — bo ostatecznie jastrząb jest mój i co ich to obchodzi? Trochę ze wstydu, albowiem zapomniałem, przez trzy dni nie wpadłem na to, że trzeba ptaka jakoś nazwać.

— Nazywa się Kuba!

Wybuchnąłem. Ale i zabrnąłem.

— Kuba? Nie podoba się nam to!

— Kuba, to takie dobrotliwe imię. Na jastrzębia?

— Mój ptak, czy wasz?

— Twój, ale musisz go pokazać.

— Nie pokażę!

— Wobec tego nie znamy cię.

Straszna groźba. Gniewaliśmy się bardzo często, ale powody zawsze były niezwykle ważne, wręcz wstrząsające. Jastrząb? No, niech znają moje dobre serce.

Było nas pięciu. Dwóch rówieśników: Waler i ja, Janek, brat Walera o rok od niego starszy — szanowaliśmy starszyznę. Drugi brat Walera — Zygmunt i Włodek (już niczyj brat) stanowili oddział ciurów do grubszych robót i specjalnych poruczeń. Byli maltretowani, bici i torturowani. Używaliśmy ich też do różnych doświadczeń.

Takie było towarzystwo. Ale zalety! Niezwykłe. Jeden rzucał kamieniami (mańkutem), tak, że potrafił zabić wróbla, jak mu się udało. Oprócz tego pluł na 25 kroków. Zwijał usta w trąbkę i pluł. Drugi miał inny talent. Dokładnie nie mogę napisać jaki. Moje zalety były natury, że się tak wyrażę, artystycznej. Gwizdałem. Ale nie tak, jak wszyscy. Dziurkę do gwizdania w wargach przesunąłem na lewą stronę (do dziś tak gwiżdżę), choć umiałem gwizdać jak wszyscy, nie specjalnie utalentowani ludzie. Oprócz tego gwizdałem z prawej strony i przez zęby. Ale szczytem wszystkiego był sposób gwizdania, który długie lata potem zapewnił mi dużą popularność. Oto gwizdałem na dwóch palcach. Ale jak! „Mattinatę" Leoncavalla wydmuchiwałem tkliwie i subtelnie na dwóch brudnych palcach, jak na flecie. Z akompanjamentem fortepianu „Arję z kurantem" także.

Tamci dwaj się nie liczyli.

Ale, czy to nie dość, żeby żałować takiego towarzystwa? Przeto pokazałem im „Kubusia".

Nader uważnie go oglądali.

— Tak, jest dziwny — orzekli.

Byłem dumny. To była największa z pochwał.

— Ale zdechnie...

Odebrałem im ptaka i poszedłem. Wieczorem napróżno w okolicach domu rozlegał się tęskny gwizd wilgi — nasze hasło, nasze zawołanie, nasza fanfara wojenna. Hasło, którego nikt nie potrafił naśladować. Nikt!

Nie wyszedłem. Obraza była za wielka.

Hołubiłem Kubusia. Ile pieszczot, ile starań, ile krwawych śladów na rękach! Ale zaczął jeść. Zaczął rozglądać się ciekawie po pokoju. Tylko od czasu do czasu piszczał. Dziwnie, nie jak ptak, jak dziecko.

I rósł. Doprawdy piękny z niego rósł ptak. Szpony potężniały tak, że siedząc na mej ręce, bez mała ją obejmował. Dziób zakrzywiony drapieżnie był groźny i niebezpieczny. Oczy, błyszczące węgielki patrzały przenikliwie. Ale jakie miał oczy! Widział się w lustrze. Na darmo uczyłem psa przeglądać się w lustrze, na darmo uczyłem kota — a on się widział. Kiedy go przyniosłem do lustra, pochylał głowę, rozpościerał skrzydła, a szpony wbijał mi w rękę — orał mi rękę szponami. Z otwartego dzioba wydawał krzyk bojowy. A potem skok w lustro.

Przy obiedzie „siadywał" zawsze koło mnie. „Siadywał", to znaczy wbijał się szponami w obrus na krawędzi stołu i rozglądał dostojnie. Dostawał chleb i kartofle. Połykał to od niechcenia z miną dumną i obojętną. Kartofel brał w pazury i objadał go, jak psotny chłopak objada kwaśne, niedojrzałe jabłko. Rzekłbym nawet, że tak samo się krzywił na fizjognomji.

Ale raz dałem mu kawałek mięsa. Oczywiście mięsa ugotowanego. I oto nastąpiła metamorfoza.

— Patrzcie, patrzcie! — wołałem do wszystkich, którzy siedzieli koło stołu.

Ptak w łapie dzierżył kawał mięsa. Nie trzymał — dzierżył. To właśnie słowo znakomicie odpowiada istocie rzeczy! Tak chorąży, otoczony przez wrogów, dzierży sztan-

dar, tak rycerz dzierżył miecz w tumulcie wojennym.

Wyrzucił z siebie kilka krótkich, urywanych, piskliwych tonów. To okrzyk wojenny. Donośny i groźny. Napuszył się. O, jak to słowo jest znowu źle stosowane. Istotnie indyk napuszony wygląda komicznie — ale zobaczcie jastrzębia. Już nie kondora, nie orła — jastrzębia. Będziecie się bać! Bo ja się bałem!

Kuba wpadł w jakiś szał! Na szyji pióra sterczały nakształt obroży. Skrzydła wyciągnęły się i otoczyły go dokoła jak pancerzem. Wreszcie zeskoczył ze stołu i uciekł w kąt. Tam, otoczywszy cenną zdobycz skrzydłami, rwał ją dziobem.

Dostąpić do niego nie było można. Nawet mnie nie pozwolił.

Był wspaniały, był królewski, był drapieżny.

Odtąd często, prawie codziennie sprawiałem mu taką ucztę. A on zawsze urządzał nam ten sam spektakl.

Muszę zaznaczyć, że Kuba nie miał związanych lotek. Latał sobie po pokojach swobodnie, o ile można mówić w tych warunkach o swobodzie.

Aż pewnego popołudnia krzyk wilgi wywołał mnie przed dom.

— Serwus! — przywitano mnie chóralnie.

— Serwus! Dokąd idziemy?

— Na razie nie idziemy...

— Na razie chcemy zobaczyć...

— Co chcecie zobaczyć?...

— Tę twoją gęś!

— Jaką gęś?

— Tego niby jastrzębia, co to latać nawet nie umie.

— A może już zdechł?

— Może miał anginę pectoris?

Zapomniałem napisać, że Waler, Janek i Zygmunt byli synami lekarza. Stąd owe szumne terminy, stosowane na chybił trafił.

Chciałem wrócić do domu, ale mi nie pozwolili. Musiałem w sadzie stoczyć bój. Wyszedłem przegrany i wobec tego musiałem Kubę wynieść i pokazać.

Co się działo w mem sercu, kiedy — jako sokolnik — niosłem na pięści Kubę. — Ptak siedział jednak spokojnie. Oszołomiony, oślepiony światłem. Może tylko silniej wbił pazury w moją dłoń. Może tylko rozglądał się ciekawiej. Czy wiecie, że jastrząb ma dziwne powieki? Błoniaste, przeźroczyste. Kuba trzepotał temi powiekami.

— No, fajny jest — orzekli przyjaciele, a ja rosłem z dumy.

Chciałem z Kubą wrócić do domu, ale w sprawę wdał się Waler, nieszczęsny Waler. Zbliżył się i zanim mogłem mu przeszkodzić, chwycił Kubę za piersi. Kuba wydał krzyk, a moja ręka momentalnie spłynęła krwią. To byłoby nic. Nastąpiła bowiem katastrofa. Ptak rozpostarł piękne skrzydła i... wzleciał.

Co się działo w sercu mojem!

Patrzyliśmy przerażeni. Ale oto dookoła dziać się poczęły dziwne rzeczy, rzeczy niesłychane, niesamowite. A wspaniałe. Jakaś nędzna kura podniosła wrzask. Okropny, straszliwy, nie dający się opisać.

— Alarm! Alarm! Alarm!

A wówczas na podwórzu stał się koniec świata. I stał się w ogrodzie i w sadzie i na sąsiednich podwórkach. Czyście widzieli, jak reagują zwierzęta na zaćmienie słońca? Ta obłąkana ucieczka, te przeraźliwe wrzaski, ten obłędny strach.

Teraz działo się to samo dookoła nas. To samo w minjaturze. Drób uciekał i krył się, jak opętany. Gołębie schowały się do gołębnika. Nawet kot wlazł do okienka piwnicy i patrzył przerażony i ogłupiały. Ptaki w sadzie tłukły się o gałęzie. Wróble miotały się nieprzytomnie. Jakaś sroka uciekała, wrzeszcząc.

— Alarm! Alarm! — Alarm! — krzyczał cały ptasi świat.

A sprawił to mój Kuba samem ukazaniem się.

Nie był wysoko, latał sobie spokojnie na wysokości kilkudziesięciu metrów.

Rozglądał się. Kołował. Jastrząb na wolności! Olbrzymi, cudny ptak!

Myśmy, nasza piątka, patrzyli na niego zmartwiali.

Ale tymczasem Kubie sprzykrzyło się latać nad sadem. Zapragnął większej swobody. Wzleciał wyżej i zataczał coraz większe koła. A świat dookoła był pusty. Nie było kury, kaczki, gęsi, wróbla. Ani kota. Alarm przebrzmiał i stało się cicho.

Wtem ciszę przerwał nowy wrzask. Niedaleko był kościół, a obok rosły duże lipy. A lipy obsiane były gniazdami wron. — I wrzask podniosły wrony. Było ich naprzód kilka, potem kilkadziesiąt, a potem chyba z kilkaset. Nadciągnęła czarna, wyjąca chmara.

— Na wroga! Na wroga! Na wroga!

Kuba nie zwracał uwagi na wyjącą tłuszczę. On — arystokrata i ta banda! Jednakże i z nim coś się stało. Zaczął się niepokoić.

— Patrz! Patrz! — Waler ściska mą rękę, z której ciągle płynęła krew. Krew nieświadoma, jeśli tak można powiedzieć, odwracając rzeczywistość.

Nadciągnęła druga chmura. Dziwna, najdziwniejsza, najbardziej niespodziewana. — Szybka, jak chmura, pędzona tornadem. — Wrony ustąpiły. Obsiadły kościół i lipy, wrzeszcząc bezustanku.

— To jaskółki — rzekłem.

Albowiem były to istotnie jaskółki. I oto te drobne ptaszki — a było ich kilka tysięcy — rozpoczęły walkę. Jaskółka z... jastrzębiem? A jednak tak. Nacierały szybko, walczyły metodą zagończyków. Jak czarne błyskawice waliły w Kubę setką, tysiącem uderzeń.

A Kuba popłynął nad kościół. Prawdopodobnie zdenerwował go ten ustawiczny, tchórzliwy wrzask wron, przeklętej hołoty. Był niewątpliwie nieprzytomny — przecież to jego pierwsza wycieczka. Usiadł na dachu.

— Waler, proca! — rzekłem gorączkowo.

Waler zmierzył. Ręce mu się trzęsły. Ale trafił. Ptak, uderzony, staczał się po dachu.

— Kuba zabity! — beknął Janek.

Och, niema dwóch zdań: — wszyscyśmy go kochali, tego mojego Kubę.

Spadł, ale nie był zabity. Ruszał skrzydłami. Podniosłem go. A potem wszyscy biegiem pod dom.

Czy ktoś w ten sposób „cucił“ ptaka? Napewno nie. Wsadziłem go do beczki z deszczówką. I czy wierzycie — przyszedł do siebie!

Był ogłuszony. Waler ściskał mnie wzruszony i gadał coś nieprzytomnie:

— Nie chciałem go... nie chciałem!

Na drugi dzień na obiad Kuba dostał całą moją porcję sztuki mięsa. Na trzeci dzień kupiłem mu kawałek mięsa surowego, albowiem żegnałem się z nim na kilka tygodni.

* * *

— Gdzie Kuba? — zapytałem po powrocie.

Nie witałem się z nikim.

— Gdzie jest Kubuś?!

— Kuba wymknął się i uciekł...

Zrozumiałem i poszedłem w pola. Słyszałem przecież jak mówiono:

Nie rzekłem ani słowa i nie pozwoliłem wspominać mego Kubusia. „Gadzina“ się straszyła, więc go wyrzucono. Wygnano... I przepędzono, kiedy chciał wracać!

— Wiesz, on wracał, ciągle wracał — mówił mi Janek najcichszym szeptem w samo ucho, — ja to mam zapisane...

Machnąłem ręką.

Ale raz — znów minęło kilka tygodni — było to w niedzielę, akurat w czasie obiadu, na podwórku powstał koniec świata. Znów wrzasnęła kwoka. Nie wiem, czy jakikolwiek krzyk poderwał mnie tak na nogi. Zrozumiałem.

Wybiegłem na podwórko. Zadarłem głowę do góry.

A on „stał“ tam, wysoko, bardzo wysoko! „Stał“, czy „wisiał“? Nieznaczny, nieruchomy punkcik w błękicie.

A tu, na ziemi kryły się kurczęta i kaczęta. Tu zaczęły wrzeszczeć wrony. Tu mobilizowały się jaskółki, tu gołębie uciekały do gołębnika.

Ja stałem w środku tej paniki z głową zadartą do góry. I łzy snuły mi się po twarzy...

# Pêle mêle karnawałowe

„Nie pozwólcie się zaskoczyć, nim dzieło Wasze nie skończyłyście!...“ — Powiada w swych, płci pięknej poświęconych, wierszach: Ars Amandi = Sztuka Kochania, doświadczony Owidjusz. Jabym dodał: Róbcie co chcecie, bylebyście tylko pięknie wyglądały! Bo i cóż nam ze świata bez pięknych kobiet i jakaż nagroda może nas spotkać, jeżeliby Was zabrakło?! O czem mowa? — szminki i puder — wszystko co uwypukla, akcentuje piękność, rysy i stwarza urodę. Sztuka ta jest stara i to tak stara, że trudno jest wprost w to uwierzyć, jak bardzo natura ludzka przez tysiące lat nie zmieniła się. — Zdziwienie było wielkie, gdy pierwsze wykopaliska w Egipcie z połowy IX wieku wydobyły na światło dzienne wszelkie akcesorja broni kobiecej, jakie wydawały się zdobyczami ostatnich lat. — Znaleziono tam i szminki i puder i peruki i wszystko co tylko należy do walki z czasem i obojętnością wybranego. Ba! i lakiery na paznokcie nie były im wówczas obce — przecież wiadomo, że Kleopatra zabić kazała damę, która wymyśliła złocenie paznokci, by być jedyną posiadaczką tego sekretu! A niedawno dokonane wykopaliska w Niemczech wydobyły na światło dzienne młodą dzieweczkę starogermańską o pięknie manukurowanych paznokietkach. Tak — najwidoczniej nie było tak źle w najstarszych nawet czasach. Rycerz chodził może ździebko niedomyty (wiadomo, że zamiast wietrzyć sale wówczas tylko pazie przychodzili z kadzidłami!), ale był wyperfumowany i w stroju dziwnie kolorowy, a dama była przeważnie tak piękną, jak tego wymagały czasy, gdy rycerze dla nich życie poświęcać byli gotowi!

A najmądrzejszy z ludzi Salomon, czyż w swych pieśniach nie sławił pełen zachwytu: „Twój zapach milszy jest od wszelkich korzeni...!“ i wiele innych rzeczy pisał ten najmędrszy z figlarnych znawców sztuki życia. A z nowszych? Czyż nie pamiętamy co odrzuciło Doriana Greya od wybranej — Sybilli Vane? Oto moment, gdy zabardzo zapamiętana w swej miłości zaczęła być zbyt naturalną! Dlatego czcijmy Lechnera, pierwszego który w nowszych czasach oparł kosmetykę na naukowych podstawach i wyzwolił kobiety ze strachu przed ciężkiemi chorobami, jakie jeszcze w połowie XIX-go wieku groziły od niebezpiecznych wówczas kosmetyków. — Pokłońmy się jeszcze raz więcej Wschodowi (Ex oriente lux!...), któremu zawdzięczamy olejki pachnące, róż, bielidło i puder i wszystkie niemal akcesorja broni kobiecej.

Ktoś powie: frywolny to wydatek! Moim zdaniem ludzkość będzie szczęśliwszą, gdy wydatki na puder będą większe niż na proch... *Dokończenie na str. 12-tej.*

# ASY *na śniegu*



Dyktator Włoch Benito Mussolini jest w swoich wolnych chwilach zapalonym narciarzem. Fot. Atlantic.



Powyżej: ...ale również i książę Windsoru odbył w Kitzbühel niejedną wycieczkę na nartach.

Poniżej: A oto wielki wojewoda Michał emocjonuje się wraz ze swem otoczeniem, przyglądając się artystycznej jeździe na łyżwach.



Poniżej: Podobnie jak jego ojciec król Leopold III jest wielkim miłośnikiem gór.





Pan Prezydent R.P. Ignacy Mościcki i premjer Goering na polowaniu w Białowieży.

Sporty zimowe mają swój odrębny, nieporównany czar. Czy może być coś piękniejszego, niż popisy łyżwiarzy na lśniącej tafli lodu, lub narciarz, który jak ptak oderwał się od skoczni i płynie ponad tłumem rozentuzjazmowanych widzów? Ale nietylko popisy tych najlepszych sportowców sezonu zimowego posiadają ten nieodparty urok. Nawet zwykły zjazd niezbyt zręcznych „ceprów“ po oślepiająco białem zboczu stanowi widok niezapomniany. A jakież chwile przeżywa narciarz „w akcji“!... Powietrze w górach ma inny zapach i inną jakość. Słońce grzeje inaczej — a pęd, który się osiąga, rozkosznie zapiera dech w piersiach.

Jest jeszcze inny powód, dzięki któremu wielu ludzi przekłada sporty zimowe ponad wszystkie inne: to owo wyrwanie się ze zwykłego środowiska do innego świata: do zaczarowanego, białego świata Zimy, gdzie się wędruje własnemi ścieżkami i gdzie można wreszcie spotkać się ze sobą samym... Ta cecha, charakteryzująca większość sportów zimowych sprawia, iż wielu wielkich ludzi, mających wielkie zadania, stale zaaferowanych tysiącem spraw i zmuszonych przebywać wśród tłumów — każdą chwilę wytchnienia poświęca sportom zimowym. Tak więc Benito Mussolini jest zapalonym narciarzem i swego najmłodszego syna oddawna zaprawia do tego pięknego sportu, Prezydent RP. Mościcki, regent Horthy i marszałek Goering są zapalonymi myśliwymi, lecz najchętniej polują w zimie na grubą zwierzynę. Lasy zimą wyglądają tajemniczo, groźnie, ale — jak twierdzą myśliwi — ich wygląd działa krzepiąco i kojąco zarazem. Nerwowy ks. Windsoru, b. król Anglji, szukał spokoju po swych niezwykłych przeżyciach — wśród ośnieżonych gór Tyrolu, odbywając długie wycieczki na nartach. Możnaby ułożyć długą listę „asów“ polityki, sztuki, czy dyplomacji, którzy szukają radości — w „białem szaleństwie“!

B.

*Dokończenie ze str. 10-tej.*

Tę parę słów wydawało mi się konieczne w okresie karnawału, jako usprawiedliwienie dla silnych, a zachęta dla słabych, zaś wszystkim ku uprzyjemnieniu chwil wspólnie przebytych na falach muzyki wśród rozkosznej atmosfery wieczorów karnawału (carne vale!), mających na cały rok dostarczyć wrażeń rozpamiętywanych i w snach powtórnie przeżywanych! Aby i inni byli zadowoleni, służę wiadomościami dla intellektualistów — przyczem nawiasem dodam, że np. najpotężniejszy z poetów Goethe tworzył arcydzieła, a jednocześnie swym wyglądem ściągał oczy wszystkich dam na siebie (nie mówię już o Leonardo da Vinci pięknym i genjalnym, bo on był jedynym w dziejach ludzkości!), bo ideał to piękny obraz w artystycznych ramach... — Poczem licząc się z tem, że większość jest teraz „realnie" myśląca, zmieniam temat:

Dwieście lat minęło, jak w dniu 15 listopada 1738 r. urodził się jeden z założycieli nowoczesnej astronomiki — Wiliam Herschel. Urodził się w Hanowerze jako syn biednych rodziców. Rodzina jego była bardzo muzykalna, młodziutki Wiliam nie wyrodził się i początkowo poszedł też tą drogą. W 14 roku życia już zaczął zarobkować jako muzyk. W 19-ym roku życia jedzie do Londynu i zostaje dyrygentem orkiestry w Yorkshire, w Leeds, potem w 1762 dyryguje koncertami w Leeds, wreszcie w 1766 jest organistą w Halifax. W kilka lat później sprowadza brata — z zawodu mechanika — i siostrę Karolinę, która z czasem stanie się jego sekretarką i pomocnicą w studjach. Teraz znów jest organistą w Bath, tu kupuje sobie książkę Fergusona o astronomji i zaczyna się nocami oddawać swemu nowemu zamiłowaniu, podczas gdy w dzień spełnia zawodowe obowiązki. Zaczyna sobie budować sam teleskopy, bo jest za biedny, by je kupować. 13 marca 1781 r. to pamiętna data rozszerzenia systemu słonecznego przez odkrycie przez Herschla nowej planety Uranusa. Początkowo nazwał go Georgium Sidus — Gwiazda Jerzego, na cześć panującego wówczas w Anglji Jerzego III. Odkrywa liczne mgławice, podwójne gwiazdy i satelity planet. W 1782, w uznaniu zasług, król mianuje go swym astronomem z pensją Ł 200 rocznie, a w 1812 r. otrzymuje szlachectwo. Po tych licznych „niebieskich" zdobyczach umiera w Slough 25 sierpnia 1822 r. — Siostra przeżyła go o 26 lat i zapisała się na zawsze w historji astronomji przez ułożenie katalogu gwiazd. Na tem nie kończą się zasługi tej genjalnej rodziny na polu astronomji, bo syn Wiliama, John napisał poważne dzieło o astronomji „The Outline of Astronomy", był prezydentem Royal Society, został mianowany baronetem, założył obserwatorjum w Południowej Afryce i narysował mapę nieba północnego i południowego. Umarł 12 maja 1871 r.

Pisząc o książce, z której Herschel zaczął się uczyć astronomji przypomniałem sobie, że właśnie umarł najweselszy chyba złodziej w świecie Artur Ferguson (o nazwisku więc takiem, jak autor tego dzieła). Zmarł spokojnie w Los Angeles w 60 roku życia, żyjąc z „własnych kapitałów". Warto wyliczyć jego główne wyczyny: karjerę zaczął od sprzedaży kolumny Nelsona w Londynie jednemu Amerykaninowi za Ł 5000. Na tak drobną sumę sprzedaży zgodził się dopiero oczywiście po dłuższych targach! Potem, za darmo prawie, bo za tylko Ł 1000 sprzedał sławny zegar Big Ben. W tym momencie uznał, że Anglja jest wysprzedaną i lepiej zrobi, jeżeli przeniesie się gdzieindziej. Wyjechał do Ameryki i tam upamiętnił się sprzedażą Statuy Wolności za poważniejszą sumę, bo dol. 100.000 i wynajęciem na 99 lat Białego Domu w Washingtonie za niskim czynszem dol. 10.00 rocznie, dla pewności jednak zainkasował czynsz za pięć lat zgóry!

Przyznam się, że będąc sędzią nie „miałbym serca skazywać tego wesołka na więzienie, przecież najwidoczniej „mundus vult decipi, ergo"... niech płacą!

Różni bywają „święci" na świecie. W Paryżu naprzykład nazywają św. Mikołajem jakiegoś dobroczyńcę, który w okresie świąt Bożego Narodzenia z nieprawdopodobnym sprytem okrada sklepy paryskie, by potem łupy w postaci zabawek i jedzenia rozdawać pomiędzy ubogie rodziny. Nic nie pomagają wymyślne zasadzki, ani czujni stróże. Co roku powtarza się ta sama serja kradzieży i publiczność, a nawet do pewnego stopnia i właściciele sklepów, są uczuciowo po stronie „ofiarodawcy". Dopiero tego roku wzięto się do energiczniejszego śledzenia sprawcy, bo kradzieże zaczęły już przekraczać dopuszczalne granice!

Podczas ostatnich katastrofalnych pożarów lasów w Australji — czytam w Times — rodzice z czworgiem dzieci uciekali samochodem przed ogniem. Na skręcie samochód „zarzucił" i wpadł w morze płomieni. Rodzice, ani chwili nie tracąc, wynieśli dzieci, ułożyli je na drodze, sami położyli się na nich i tak chronili je swem ciałem przed ogniem. Cała rodzina leży teraz w szpitalu i jest nadzieja uratowania ich. Są jednak bohaterzy na świecie!

Z Ameryki wciąż dochodzą wieści o oryginalnych pomysłach. W Chicago założono towarzystwo „Konserwacji Kwiatów". Na podstawie jakiegoś tajemniczego sposobu preparuje się świeże kwitnące kwiaty, potem pakuje się je do cynowych pudełek, wypompowuje powietrze, zamyka i puszki te sprzedaje w automatach. Tak zakonserwowane kwiaty mogą być przechowywane przez trzy miesiące. Po otwarciu więdną jednak (jak normalnie) po kilku dniach.

August II był nadzwyczajnej siły, to wiemy. Mniej znanym jest jego syn Maurycy, marszałek Saksonji, który był tak mocnym, że nikt nie mógł mu się oprzeć, z wyjątkiem... panny Gautier (tak!). Bo też i mocarną była ta dziewczyna, zwijająca srebrne talerze w trąbkę. Ale nie tylko to, bo pozatem była bardzo wykształconą, żywą i przystojną, a życie miała dość urozmaicone: była malarką, poetką, aktorką we Francji, skończyła swą bogatą karjerę jako karmelitanka.

O tymto Maurycym opowiadają tę sławną anegdotę: przyjechał kiedyś z wizytą do p. de Noailles, do jego zamku w Montmorency. W oknie kiedyś stojąc odkłaniał się każdemu przechodzącemu chłopu, czy robotnikowi, by — jak odpowiedział zdziwionemu p. de Noailles — nie posądzono go, że jest gorzej wychowany niż oni!

Ktoby to powiedział, że dawny rower-drezyna, na którym jechało się siedząc na siodełku i odpychając się nogami od ziemi, w Anglji nazywał się Dandyhorse=Koń Eleganta. Coprawda i nazywali go — trochę bliżej prawdy — „Bone Shaker", to jest „wytrzęsacz kości". Nawiasem dodam, że pedał do roweru (początkowo na przednie koło) wynalazł Niemiec Ph. M. Fischer, a syn jego zaopatrzył rower w łożyska kulkowe.

Przypominam sobie jeszcze, jakto pisma polskie doniosły swego czasu, że amerykańskie gazety podają, jakoby widziano unoszący się w powietrzu jakiś aparat, „jednak wiadomość tę, jako pochodzącą z Ameryki, należy przyjąć z zastrzeżeniem".. — Pierwszy lot braci Orwille i Wilbur Wright odbył się w północnej Karolinie w Kitty Hawk dnia 17 grudnia 1903 r. 35 lat temu. Jedno zaledwie pokolenie; a tak szalony postęp! Loty naokoło świata, o szybkości około 1.000 kilometrów na godzinę, transporty kilkudziesięciu pasażerów, regularne komunikacje przez oceany i to jeszcze napewno nie koniec! Wilbur umarł w 1912 r., a Orwille jeszcze żyje Z prawdziwem rozczuleniem oglądałem fotografję przedstawiającą Orwille Wrighta, jak przyjmuje bukiet kwiatów złożony mu w rocznicę jego przełomowego wyczynu. Pomyśleć tylko, jakie muszą być uczucia tego pionjera, gdy słyszy o tak cudownem rozwinięciu się gałęzi techniki, którą — praktycznie biorąc — on stworzył!

Wspominałem kiedyś o pierwszem ogłoszeniu małżeńskiem, które ukazało się w Angji w 1653 roku. Jedno z pierwszych, jakie znamy, ukazało się w Manchester Weekly w 1727 roku, ogłoszone przez Helenę Morisson. Oh, opłakane były skutki jego! Czcigodni czytelnicy tak strasznie się oburzyli, zalali taką masą interpelacyj biedną redakcję i wogóle taką to wywołało reakcję, że aż policja zainteresowała się wypadkiem, zaaresztowała biedną panienkę i przekazała doktorom do zbadania jej stanu umysłu. Taki to los pionierów!

Nowy rekord USA to następstwa uprzemysłowienia Myślę tu o sadzach, jako skutku wielkiej ilości fabryk, a raczej ich kominów. Statystyki wykazały, że najbardziej pod tym względem brudne miasto to Cleveland. Nie dużo, „tylko" 50 miljonów kilogramów sadzy unosi się rocznie nad tem miastem. Skutki bardzo oczywiste, bo kołnierzyk zachowuje tam swą świeżość zaledwie przez parę godzin, bieliznę trzeba zmieniać codzień i t. d. — Gdy statystyki ogłosiły te wyniki, zebrał się oczywiście zaraz komitet, mający na celu zaradzeniu złu, przez — prawdopodobnie — wprowadzenie lepszych metod spalania.

Jak wszystkie rasowe wyhodowane zwierzątka, tak i rybki mają swe choroby. Ba, nawet zapadają na nerwy. Objawia się to dokuczaniem współtowarzyszom z akwarjum. Stąd hodowcy tych ślicznych nieraz zwierzątek mieli z niemi dużo zmartwień, a w razie śmierci poważne nieraz straty pieniężne. W Londynie zaradził temu weterynarz dr. B. Pope, przez założenie specjalnego szpitala dla ryb. Początki były trudne, gdyż właściwie on był pierwszym i musiał stworzyć wszelkie metody leczenia. Dopomógł mu w tem kolega chirurg i szpital ma duże wzięcie, a założyciel dochody. Najciekawsze, że dr. Pope wymyślił nawet sposób usypiania ryb dla operacji, robi to w sposób właściwie prosty: wpuszcza do wody powietrze zmieszane z eterem.

Wiadomo, że mrówki mają swoje dojne krówki w postaci malutkich owadów-mszyc. Jakiś anielskiej cierpliwości uczony, przy pomocy najczulszej wagi ustalił, że zużycie mleka jednego przeciętnego mrowiska wynosi rocznie około 5 litrów.

Wciąż czyta się i mówi o stratosferze, ale mimo to mało znanem jest, gdzie ona jest i jak właściwie przedstawia się ziemska atmosfera. Podam pokrótce: najniższa warstwa atmosfery to troposfera, rozciąga się ona do wysokości 11 kilometrów, powyżej to stratosfera. W tej sgranicy temperatura zmienia się regularnie, opadając do —53° C. Od tego punktu temperatura stała aż do wysokości 30 km. Między 30 a 40 km temperatura rośnie i ta warstwa odbija fale głosowe. Na wysokości 100 km jest zjonizowana warstwa powietrza Kennedy-Heaviside, a przy 300 km warstwa Appletona. Obie odbijają fale radjowe. W wysokości 100 km widujemy zorze polarne, między 20 a 170 km meteory. Najwyższa wysokość, do jakiej dotarł balon bez ludzi, wynosi 31 km. Osiągnął ją balon prof. Regenera dn. 31. VII. 1934 roku. Skład chemiczny atmosfery aż do 18 km jest ten sam, od 21 km powiększa się ilość helu. Powoduje to prawdopodobnie brak wiatrów, któreby przemieszały atmosferę, wskutek tego cięższy tlen pozostaje na dole, a lżejszy hel idzie do góry.

Był czas, kiedy medycyna potrafiła łączyć miłe z pożytecznem: oto w XVIII wieku żył sobie doktór Arnaud de Villeneuve. Jako jeden z zabiegów medycznych zalecał swym pacjentom upijać się dwa razy miesięcznie! Mogli to chorzy już wtedy robić w myśl wszelkich zasad sztuki, bo znanem już było chłodzenie wina. Datuje się ono bowiem od czasów Króla Słońca.

**Jerzy Dołęga Lewandowski.**





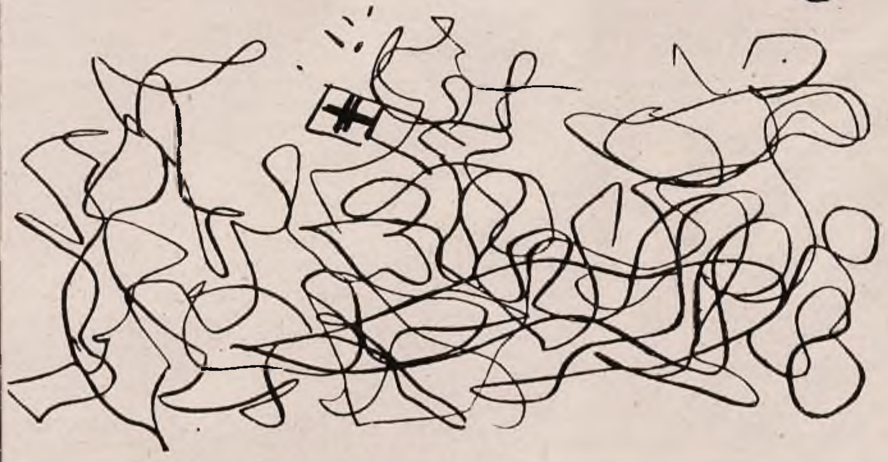
# PRACA RĄK

W TECHNICE I W SZTUCE

PRESSE PHOTO — BERLIN

# „CURRICULUM VITAE" HUMORU





Powyżej — Komizm przez uproszczenie: „Bitwa pod Grunwaldem", karykatura Wyspiańskiego.

Na lewo — Komizm powstaje wskutek zmiany mechanicznej: portret w krzywem zwierciadle.

Poniżej — Analogje: Ludzie i zwierzęta. Rys. F. Kostrzewskiego.



Zdaje się, że narodowość człowieka można najłatwiej poznać po dwóch rzeczach: po dowcipach, z których się śmieje i po potrawach, które najchętniej jada. Są to probierze wprawdzie dosyć ziemskie, dosyć, możnaby powiedzieć, mało wzniosłe ale niezawodne: zanim dochodzimy do sublimacji uczuć musimy przejść przez szkółkę normalną, przyziemną, zwykłą. I właśnie dlatego te tak bliskie człowiekowi i z nim tak zrosłe rzeczy: humor i jedzenie — najlepiej świadczą o jego narodowej mentalności.

Ale nie tylko narodowej: o mentalności wogóle. Bo przecież humor to ten element naszego życia psychicznego, który nam jest najbliższy: chętniej się śmiejemy, niż martwimy, dlatego też wkładamy w śmiech, w funkcję obserwowania rzeczy śmiesznych, w tworzeniu dowcipów czy „powiedzonek" najwięcej swego ja, najwięcej z charakterystycznych dla nas cech.

Porównywanie humoru w różnych epokach jest niezwykle ciekawe: gdy czytamy np. dowcipy, kalambury i inne fraszki Żółkowskiego, wydane choćby w słynnym „Momusie" (1836), który był w owym czasie, tj. w pocz. XIX. wieku jakby alfą i omegą polskiego humoru, widzimy żeśmy się niezwykle oddalili od pojęcia humoru ówczesnych ludzi. „Kawały", które nam imć Żółkowski podaje, są tak naiwne, dziwne i — powiedziałbym — „odrętwiałe", że nie drga nam nawet jeden muskuł w twarzy. A przecież nie dzielą nas znowu wieki od tych czasów: zaledwie sto lat. Również mało rozumiemy humor Reya czy Kochanowskiego, choć wiemy zasadniczo o co im chodzi. Pewnie, że w pewnym stopniu winien temu jest język, archaiczny, twardy, mało urobiony jak na nasze dzisiejsze pojęcia, ale sam pomysł również jest nam raczej obcy.

Zbadanie techniki humoru jest również rzeczą niezwykle ciekawą: poznanie jego sprężyn, jego podłoża, jego charakteru, zmian i nowych, coraz to ukazujących się odmian. Właściwie przecież ostatnie dopiero lata wprowadziły na niwę humoru opowiadania w stylu Wiecha lub Karpińskiego. Choć gwarą przedmiejską mówiono w Warszawie od wieków, to jednak dopiero Wiech ujął to w formę książkową, oraz literacką a Karpiński wysublimował pewne zapewne znane już dawniej pomysły w formie nieraz kapitalnych, niesamowitych szkiców. Przeglądając księgi polskiego humoru zauważamy, że niektóre gatunki giną, inne powstają. Jak w faunie wymierają niektóre zwierzęta a nowe krzyżowania, (np. psów), wychodzą na światło dzienne, tak i tu jeden typ ustępuje miejsca drugiemu. Tak np. zaginął u nas kalambur, a jeżeli się pojawia, to w formie obmyślonego dowcipu, nie zaś spontanicznego powiedzionka, zagnieździł się natomiast w teatrzykach, nowelach, humoreskach, nieznany dawniej t. zw. „szmonces". Oczywiście, że na humorze odbija się tak samo jak na każdej innej dziedzinie technika życia, warunki, w których żyjemy, warunki gospodarcze, polityczne, psychiczne. Do dziś inny jest dowcip francuski wyhodowany na winie i dojrzewający pod słońcem południa, niż nasz dowcip, zrodzony nieraz w oparach wódki i w mglisty, zimowy wieczór a dowcip niemiecki posiada w sobie ciężkość monachijskiego piwa (nie jest to aluzją do zjazdu czterech dyplomatów w stolicy Bawarji), i systematyczność berlińskiego „Schupo" czy „Schaffnera" na kolejach. A poza temi różnicami narodowościowemi tworzą się też osobne kategorje zależnie od sfery, w której powstały, od zainteresowań autorów dowcipu itd.

Właściwie pierwszym, który zajął się klasyfikacją i naukowem rozpatrzeniem źródeł humoru był prof. Jan St. Bystroń w swem dziele „Komizm", bo dotychczas wprawdzie zajmowano się nieraz tą dziedziną (np. Bergson w swej świetnej monografji humoru), ale nie tak szczegółowo, nie tak „po profesorsku" jak to uczynił właśnie Bystroń. Określenie „po profesorsku" niema zresztą nic ujemnego w sobie, wyraża tylko dokładność, wnikliwość i rzeczowość wykładu. A przecież nie jest to rzeczą łatwą mówić o rzeczach wesołych... poważnie! Nie ujmuje to nic wartości pracy bo jest zrobione celowo: gorzej byłoby gdyby powaga wypływała mimowoli z kart książki.

Jak w tylu innych dziedzinach, tak i tu, w zakresie humoru, pierwsze odruchy śmiechu i pojęcia rzeczy wesołej możemy obserwować u dziecka. Gdy ktoś idąc po śliskim trotuarze przewróci się, dziecko się śmieje. Gdy ojciec ubierze się w jakiś dziwaczny strój karnawałowy, synek odczuwa komizm sytuacji. Gdy rodziców odwiedzają znajomi, on niski gruby, ona wysoka chuda, synek nie oprze się by nie zrobić złośliwej o nich uwagi, a gdy nauczyciel, zawsze poważny i godny, daje się oszukać swemu uczniowi, znów wywołuje wybuch śmiechu. Przykładów jest moc, ale one wszystkie możnaby podzielić na pewne kategorje, odnieść do pewnych zasadniczych źródeł, z których wynika komizm.

Nie ulega wątpliwości, że przynosimy na świat pewne pojęcia lub przeczucia porządku, normalnego stanu rzeczy, pewien, żeby się tak wyrazić, „kompleks policyjny". Tak jak „pan władza" w niebieskim mundurze baczy aby auta jechały przepisaną szybkością, aby ludzie nie przechodzili ulicy w niewłaściwych miejscach, aby psy prowadzono na lince i aby tyle i tyle innych rzeczy działo się w usankcjonowanym ustawą i przepisem porządku, tak i my, nieomal zaraz po urodzeniu, zostajemy wciągnięci w ten tradycyjny porządek życia, w jego przepisy, w jego mądrość czy konwencję i odtąd również przyzwyczajamy się uważać, że te i te rzeczy powinny się odbywać w taki i taki konkretny, ściśle określony sposób. Nie mo-

że być zresztą inaczej, gdyż przecież sama natura człowieka zmusza go do wciągnięcia się w pewien porządek rzeczy. Gdy jest zimno, nikomu z nas nie przyjdzie do głowy chodzić w lekkiem ubraniu bez płaszcza czy futra, gdy jest odwilż i trotuary pełne są wody będziemy unikać mokrych miejsc aby nie zamoczyć obuwia, gdy mówimy z człowiekiem starszym, wybitnym przez urząd, majątek czy umysł, nie będziemy stosowali wobec niego form jakie ujdą wobec naszego kolegi. Gdy wkońcu kupimy sobie parę koni, postaramy się aby były możliwie równe, wielkością, maścią, rasą, nie dobierzemy zaś do wysokiego trakena małego góralskiego konika. I oto już mamy cały schemat czynów, poglądów i światopoglądów, jaki wyrabia się z techniki życia: wszystko co wykracza poza te ramki, co niweczy lub rani nasze kanony codzienne, będziemy uważali za wykroczenie lub za rzecz śmieszną. I oto jesteśmy u źródła najważniejszych powodów komizmu: są one w części konwencjonalne, tj. wypływają z konwencji, umowy, częściowo zaś są wszechludzkie gdy sięgają jeszcze głębiej tj. do samej istoty natury ludzkiej inne znów są przelotne, związane z modą obyczałem, stosunkami itd.

Każdemu z tych źródeł komizmu poświęca prof. Bystroń osobny rozdział: każde z nich godne jest omówienia i zastanowienia. Oto pierwszy powód do śmiechu: zmiany mechaniczne. Gdy patrzymy się w lustro defigurujące naszą twarz i całą postać, śmiejemy się: robimy się naraz wysocy, chudzi lub mali, grubi. Takie lustro defigurujące zwane przez Niemców „Vexierspiegel", (od vexare drażnić) ma w sobie naprawdę coś drażniącego: zwłaszcza satyra wszelkiego rodzaju posługuje się wyobrażeniem takiego lustra, to też często mówi się o „zwierciadle humoru" o „krzywem zwierciadle" itd. Oczywiście, że każdą rzecz można oglądać w tem krzywem zwierciadle satyry i złośliwości, nawet rzeczy najbardziej poważne, godne i czcigodne. Wszak Wojciech Dzieduszycki na pogrzebie Franciszka Smolki rzekł, że gdy rodzi się dziecko, to dobroczynna muza, która będzie niem się opiekować w życiu, całuje dziecię w czoło a wtedy wyrośnie z niego wielki myśliciel, lub w rękę wtedy będzie to wielki pisarz, w usta jeżeli ma stać się wielkim mowcą. Przemówienie swe zakończył pytaniem: „gdzież muza pocałowała ś. p. Smolkę, który przez dziesięć lat zasiadał na stolcu prezydjalnym?" Jak widzimy, nawet w mowie pogrzebowej o wielkim człowieku można przemycić satyrę i oglądać cały obrzęd a nadewszystko samego nieboszczyka w krzywem zwierciadle. Komizm pojęciowy tego rodzaju znajdujemy w wierszu Mickiewicza o upartej żonie, która płynęła przeciwko prądowi. Śmieszy nas to, bo jest alogiczne, niezgodne z porządkiem rzeczy. Inny powód do śmiechu to zbyt skomplikowane lub zbyt uproszczone wyrażanie się: pierwsze np. w tytułach starych książek, w panegirykach napuszonych a pustych (np. w powieści Rabelais'a „Gargantua i Pantagruel"), drugie gdy znów poważne rzeczy załatwia się zbyt lakonicznem odezwaniem się.

Człowieka zrównoważonego, wiedzącego coś o życiu i jego prawach dotykają wszelkie niemożliwości, przesady, a więc śmieszą go łgarstwa myśliwych, opowiadania Münchhausena, księcia Radziwiłła Panie Kochanku, itd. Innego rodzaju humor powstaje gdy obserwujemy czyjąć nieudolność. Ten „trick" humorystyczny często bywa używany przez autorów, którzy śmieszą publiczność na koszt jednej z postaci sztuki, która jako jedyna, nie orjentuje się w sytuacji. Ten sam rodzaj humoru powstaje, gdy zdradzony mąż nie wie o swem nieszczęściu, podczas gdy całe miasto mówi o niewierności jego żony.

Inny rozdział należy się komizmowi powstającemu z zestawienia: wysoki, chudy mąż i mała, krępa, pulchniutka żona — oto najpospolitszy przykład. Ale są też inne sytuacje niemniej komiczne, tu należy anachronizm, pomieszanie socjalne, (np. mąż niańczący dziecko a żone piastująca urząd męża), i kilka innych gatunków.

Oczywiście, że niezliczony jest poczet tych źródeł humoru: bawią nas przesadne typy ludzi, bawi nas specyficzny żart o pewnych cechach narodowych, o Szkotach, żydach, murzynach, Gruzinach itd. Śmiejemy się z dziwactw pewnych zawodów, z starych kawalerów, starych panien, młodych mężów, teściowych itd.

Mówiąc o komizmie musimy rozróżniać dwa jego oblicza: — graficzne i słowne. Oczywiście, że nieraz oba pokrywają się ze sobą, że można je wyrazić graficznie i słownie, ale są gatunki specjalne, jedynie słowne np. kalambur.

Humor najlepiej ilustruje swą współczesność: jest jak piękna kobieta, która tak długo jak jest młoda i powabna budzi zainteresowanie, później zapomina się o niej i jej sukcesy traktuje się jak opowiadania o wydarzeniach historycznych. Gdy podczas wojny światowej odbyła się w Wiedniu konferencja dyplomatów państw centralnych, minister spraw zagranicznych Austrji, hr. Czernin, wielki prusofil wygłosił mowę, która bardziej po austrjacku myślących mężów stanu niezwykle uraziła. Wtedy to ukuto kalambur, że podczas obiadu wszystkich prawdziwych Austrjaków bardzo uraziło wystąpienie dyplomaty austrjackiego, gdyż znaleźli w Czerninie prusaka! Dziś kalambur ten, świetny zresztą, jest historycznem wspomnieniem, tak jak inny kalambur à propos cesarza Franciszka Józefa, który, jak wiadomo żył 86 lat i zdawało się, że nigdy nie umrze. Otóż we Francji mówiono wtedy: „jakie jest podobieństwo między cesarzem a pneumatykami Michelin? „L'un est l'autre est increvable — brzmiała odpowiedź (jedno i drugie jest nie do zdarcia, dokładnie nie może pęknąć albo zdechnąć). Dziś w zmienionych okolicznościach ukuto wiele kalamburów politycznych: jednym z najnowszych jest, że Austrja ma po „anszlusie" otrzymać nazwę „Oberjammergau", przyczem słowa „jammern" (narzekać) zmienia oczywiście odpowiednio sens nazwy miejscowości w której w dodatku odbywały się widowiska pasyjne! Ciekawe, ale bardzo dla nas już sensem odległe kalambury znajdujemy w „Zwierzyńcu" Reya, gdzie pisząc o pewnych osobach, posługuje się on ich nazwiskami aby wydobyć z nich znaczenie kalamburystyczne. Tak np. pisze o Kościeleckich, że są niezwykle zadufani w sobie pisząc się z Kościoła, i wkrótce może już będą się pisali z nieba! Ludowe niejako kalambury znajdujemy w tłomaczeniu pewnych nazw, np. Warszawy, której nazwa miała powstać z okrzyku flisaków wołających do niejakiej Sawy: „warz, Sawo", czyli „gotuj strawę dla nas", to samo spotykamy w wielu innych nazwach tłomaczonych przez lud.

Chociaż dzieło prof. Bystronia zaznajamia nas wszechstronnie z obliczem komizmu, to jednak jestem pewny, że nie wyczerpuje ono wszystkich możliwości: odmienne warunki, inna psychologja, za lat dziesięć lub sto, trudno przewidzieć okres czasu, może wynieść na powierzchnię nowe gatunki komizmu i humoru, gdyż inni będą ludzie. W każdym razie wszystkie opierać się będą na przeczeniu zdrowemu rozsądkowi, zachwianiu równowagi myślowej i na przeczeniu utartemu życiowemu schematowi.

Biorąc pod uwagę dzisiejsze paradoksy tak w życiu politycznem jak też społecznem, możemy śmiało twierdzić, że wkrótce przybędzie jeszcze kilka nowych źródeł, z których tryskać będzie szczery humor, raz po raz tylko zroszony przysłowiową łezką.

**Jan Maleszewski.**




**Na lewo — Komizm płynie z anachronizmu: Ks. Józef przed składem z mundurami.**

**Poniżej: Rzeczywistość i obraz. Rys. Z. Czermański.**



**Poniżej:**

**Komizm przez zbliżenie — Zima w stolicy i zamrożony szampan.**

Rys. A. Wasilewski.



# Zimowe stolice Europy



Gdy nadchodzi zima niemal wszystkie państwa Europy zmieniają swoje stolice. Nie należy tego oczywiście rozumieć dosłownie. W każdym razie do wielkich zimowisk wędrują całe masy ludzi z wielkich miast, chcąc zażyć rozkoszy sportów zimowych i odpoczynku na łonie natury. Rozwój tych zimowisk nastąpił właściwie dopiero po wojnie, kiedy idea odpoczynku w okresie zimowym znalazła wielu zwolenników. Dziś zdania tak dalece się zmieniły, że nawet i lekarze uważają spędzenie urlopu w zimie w górach za bardziej korzystny dla organizmu ludzkiego, niż wyjazd na wakacje w lecie.

Niemało do rozwoju zimowisk przyczynił się także sport. Narciarstwo, łyżwiarstwo, jazda na saneczkach to trzy sporty, które stały się potężnymi propagatorami górskich miejscowości w okresie zimy. Dzisiaj, kiedy sportowi oddaje się tyle ludzi— musiało dojść do rozkwitu także i tych miejscowości, które przez naturę są wyposażone w warunki, sprzyjające sportom.

Rzecz prosta, że same naturalne warunki, aczkolwiek stanowią „bazę operacyjną", nie wystarczą jednak. W pomoc musiały przyjść inne czynniki, które postarały się zaopatrzyć daną miejscowość w te urządzenia sportowe, których domagali się przyjezdni turyści. Dziś nie sposób sobie wyobrazić zimowiska bez toru lodowego, toru bobslejowego, kolejek linowych itp. ułatwień, nie może także zimowisko obejść się bez doborowego programu imprez sportowych, które stanowiłyby okrasę pobytu.

*Dokończenie na str. 20-tej.*



**Sollefteo: skocznia.**



**Chamonix: ogólny widok**



Na prawo: Zakopane w śniegu, widok z Gubałówki.
Fot. T. i S. Zwolińskich.



**St. Moritz: miasto w nocy.**



**Davos: stadjon lodowy.** — Fot. E. Meerkämper.



**Lahti: nastroje wieczorne.**

# Ścigał się żółw z zającem...



Ślimak — 16 m.



Żółw — 160 m.



Leniwiec — 800 m.



Świnia — 17 km.



Słoń (napadający) — 40 km.

Wyścig szybkości trwa nieustannie. Co kilka dni dowiadujemy się o jakimś nowym rekordzie. Niedawno pobity został znowu rekord szybkości samolotu: — przewyższyła szybkość 800 km. na godzinę. Liczby stają się tak wielkie, że wrażliwość nasza już się stępiła. Dla naszej wyobraźni to w gruncie rzeczy wszystko jedno: 700 czy 800 km na godzinę. Jednego i drugiego nie umiemy sobie wyobrazić. Do uprzytomnienia sobie tego, co genjusz ludzki osiągnął w ostatniem stuleciu, doskonale nadaje się jednak porównanie z rekordami szybkości, osiąganymi przez inne organizmy na kuli ziemskiej. — Wtedy dopiero wyjdą na jaw niebywałe zdobycze techniki ludzkiej. Zarazem jednak niepokojąco wyglądać będzie odstęp w jakim pozostawiliśmy za sobą najszybsze z pośród zwierząt. To oddalenie się człowieka od natury zaczyna budzić coraz większe obawy i daje niektórym sposobność do stawiania pesymistycznych horoskopów na przyszłość. Coraz częściej pojawia się pytanie, kiedy się to skończy? Czy organizm ludzki nie zmieni się doszczętnie?

Wkońcu także i organizm nasz zbudowany jest tylko z komórek, chociaż obdarzonych jakąś niesamowitą energją. Czyż nie ma granicy dla tego wyścigu szybkości? — Otóż wielu uczonych powiada, że właśnie do tej granicy coraz bardziej się zbliżamy. I jeśli konkurs szybkości pójdzie dalej w tem tempie, co w ostatnich kilkunastu latach, to już za parę lat granica ta zostanie osiągnięta. I co wtedy? Czy będzie to kres ambicji ludzkiej w tej dziedzinie? Obawiamy się, że nie. Granica ta obowiązuje bowiem, jak to niżej jeszcze zobaczymy, tylko dla obecnie stosowanych silników wybuchowych. Natomiast przy zastosowaniu innego sposobu napędu nie ma właściwie innej granicy szybkości, jak tylko wytrzymałość naszych nerwów oraz naczyń krwionośnych. — A tej wytrzymałości zgoła nie można niedoceniać. Bo przecież wszelkie sceptyczne przewidywania co do tego okazały się dotychczas nietrafne. Czyż powagi naukowe nie wyrażały swoich wątpliwości, gdy pojawiła się pierwsza lokomotywa Stephensona? Czyż lotnicy sami nie wyrażali kilkanaście lat temu przekonania, że granicą szybkości w lotnictwie będzie około 300—350 km/godz, bo powyżej tej granicy zawrót głowy uniemożliwi dalszy lot? A tymczasem. Już istnieją samoloty pasażerskie, które latają z szybkością powyżej 300 km/godz.

Można mimoto jednak spierać się o to,



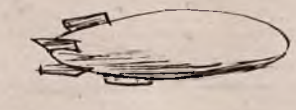
Szybkobiegacz — 31 km.



Wieloryb — 38 km.



Cyklista — 123 km.



Zeppelin — 180 km.

czy człowiek rzeczywiście pokonał świat zwierzęcy w konkursie szybkości. Bo przecież człowiek używa do tego najwyszukańszych środków, a zwierzęta tylko tych organów, któremi obdarzyła je natura. Nawet najszybszy maratończyk nie przebiegnie więcej niż 31 km na godz. Człowiek góruje tu nad całym szeregiem stworzeń jak np. nad nosorożcem o szybkości 30 km/godz. i niektóremi zwierzętami domowemi n. p. kurą o szybkości 15 km. na godz. wieprzem o szybkości 17 km/godz. Pozostaje jednak w tyle za psem osiągającym około 38 km. na godz., koniem wyścigowym, którego szybkość dochodzi do 72 km/godz. Nie mówiąc o gazeli, której szybkość dochodzi do 90 km/godz. i o innem zwierzęciu zwanem po angielsku „cheetah", które osiąga około 110 km/godz., będąc w ten sposób najszybszem zwierzęciem na lądzie. Rekord ten pobity został przez człowieka dopiero przy użyciu lokomotywy parowej. Warto przypomnieć, że zdarzyło się to w r. 1847, kiedy to po raz pierwszy parowóz uzyskał szybkość około 120 km/godz. Automobile zdobyły zwycięstwo nad zwierzętami dopiero w r. 1889, kiedy to hr. Chasseloup-Laubat uzyskał na swym elektrowozie szybkość wynoszącą około 117 km/godz. Gdy sobie przypomnimy obecne szybkości lokomotyw i t. zw. motorówek dochodzącą do 180 km oraz szybkość rekordową osiągniętą samochodem, a wynoszącą ponad 530 km/godz, to dopiero widzimy, jakiemi siedmiomilowymi krokami idzie postęp człowieka na tem polu.

Dla porównania warto przytoczyć także szybkości niektórych ślimaków, wynoszącą około 15 metrów na godzinę. Szybkość ta jest jednak jeszcze około 140 razy większa aniżeli szybkość wzrostu pylnika roślinnego a nawet 600 do 700 razy większa niż szybkość wzrostu bambusa. Mamy tu zestawienia szybkości roślin i zwierząt na lądzie stałym.

Najwięcej porównań szybkości zwierząt i ludzi dokonano jeśli chodzi o ruch w powietrzu. Obserwowano mnóstwo owadów, muszek, nie mówiąc już o ptakach. Tu trzeba powiedzieć, że człowiek pokonał zwierzęta w szybkości w locie dopiero 9. października 1920, kiedyto Francuz de Romanet na aparacie „Spad Herbemont" z silnikiem „Hispano-Suiza" uzyskał szybkość 275 km na godz. Pierwszy raz od początku świata poruszał się wówczas człowiek szybciej aniżeli jakiekolwiek zwierzę. Pobił on wtedy rekord pewnego amerykańskiego jastrzębia zaledwie o 5 km/godz. Od tego czasu szybkość człowieka w aparacie lotniczym staje się coraz większa. Dzisiaj oficjalny rekord wynosi ponad 700 km/godz., a ostatnio jak już wspomnieliśmy, nawet przekroczył 800 km/godz. Nie wszystkie szczegóły dochodzą tu do wiadomości publicznej, bo ze zrozumiałych powodów władze wojskowe trzymają w różnych krajach w tajemnicy osiągnięcia swoich pilotów i swoich maszyn.

Fachowcy uważają szybkość wynoszącą około 1150 km/godz. za granicę maksymalną, którą można osiągnąć w samolocie. Tyle bowiem wynosi szybkość rozchodzenia się głosu w powietrzu na wysokości kilku tysięcy m. n. poz. morza. W stratosferze granica ta leży już przy 1000 km/godz. Prezes angielskiego towarzystwa aeronautycznego H. E. Wimperis tłómaczy dlaczego szybkość rozchodzenia się głosu stanowi maksymalną granicę dla samolotów. Aż do tej szybkości bowiem powietrze zdoła jeszcze usunąć się z drogi prującemu je samolotowi. Natomiast ponad tę granicę wzrasta niebywale szybko tzw. opór napotkany przez samolot, tzw. opór czołowy. Opór ten wzrasta w stosunku większym, aniżeli kwadratowym, to zn., że gdy szybkość samolotu wzrasta dwukrotnie, to opór wzrasta więcej niż czterokrotnie. Zdaniem Wimperisa przyczyna tego tak bardzo wzrastającego oporu jest następująca: Powietrze usuwające się z drogi samolotu zostaje sprężone i zgęszczone przez napierający na nie samolot. To zgęszczenie powietrza rozchodzi się dalej ruchem falowym a szybkość rozchodzenia się tego zgęszczenia równa się właśnie szybkości rozchodzenia się głosu w powietrzu. Bo przecież głos powoduje również tylko zgęszczenie i rozrzedzenie powietrza, rozchodzące się ruchem falowym. Jeżeli jednak samolot porusza się prędzej, to te zgęszczenia powietrza przez niego spowodowane, nie mogą się rozejść dostatecznie szybko i samolot jest wystawiony na ciągłe uderzenia nie ustępujących przed nim mas powietrza. Wimperis porównuje to do wypadku, gdy samochód usiłuje przedostać się przez gęsty tłum ludzki, który nie ma gdzie ustąpić. Jasne jest, że w takim wypadku energja samolotu marnuje się wskutek zderzeń z masami powietrza i tarcia. I dlatego każdy przyrost szybkości wymaga niezwykle wielkiego zwiększenia mocy silników. Przy prędkości zbliżonej do prędkości rozchodzenia się głosu potrzeba byłoby na każdy kg wagi samolotu około 2 KM (koni mechanicznych) mocy silnika. Tymczasem dzisiejszym silnikiem nie można wydobyć więcej niż 2 KM na 1 kg wagi samego silnika. Innemi słowy przy tak wielkiej szybkości silnik samolotu zdołałby zaledwie siebie samego utrzymać w powietrzu. I nic już nie pozostaje z siły na wykonanie pracy użytecznej. W rzeczywistości maksymalna granica szybkości samolotu leży jeszcze niżej. Według Wimperisa nie przekracza ona szybkości 950 km na godz., bo powietrze ustępujące samolotowi z drogi, musi się poruszać z większą szybkością aniżeli sam samolot.

Inaczej ma się sprawa przy zastosowaniu napędu rakietowego. W tym wypadku możliwości osiągnięcia większej szybkości są nie zaprzeczone i granicą jest wytrzymałość naszego organizmu.

Ten sam argument wykluczający możliwość osiągnięcia przez samolot większej szybkości aniżeli 1100 km. na godz., przemawia przeciwko ogłoszonemu niedawno przez agencje prasowe wiadomości, jakoby pewna amerykańska mucha Cephenomyia latała z szybkością wynoszącą ponad 1200 km. na godz. Zdaniem poważnych uczonych wiadomość tę należy między bajki włożyć. Największą szybkość osiągniętą przez owady w powietrzu oceniają na około 52 km na godz. Zwyczajna mucha nie osiąga więcej niż 8 km na godz. Pszczoła lata z szybkością 12 km na godz., gdyż jest obładowana pyłkiem kwiatowym. — Szybciej porusza się trzmiel, który osiąga około 17 km. na godz.

Najszybciej poruszają się w powietrzu ptaki. Jak już wyżej wspomnieliśmy, rekordowa szybkość wynosi tu około 270 km na godz. T. zw. złoty orzeł osiąga szybkość większą aniżeli Zeppelin, bo 180 km. na godz. Jaskółka również nie ma się czego wstydzić: jej szybkość dochodzi do 170 km na godz. Bardzo wielka jest także szybkość sokołów, sępów, niektórych kaczek dzikich i gęsi. Szybkości ich leżą w granicach około 100 km. na godz. Ciekawe jest, że mały kolibr osiąga około 90 km. na godz.

Mimo walnego zwycięstwa człowieka nad zwierzętami w powietrzu, to jednak istnieją jeszcze dziedziny, w których człowiek pozostaje w tyle za niemi, tak np. pod wodą. Łódź podwodna osiąga zaledwie 15 km/godz. podczas gdy niektóre ryby jak tuńczyk, osiągają ponad 60 km/godz. Ba, rekord podwodny wynosi tu 90 km/goz. Niema widoków aby człowiek mógł się tak szybko poruszać pod wodą, przynajmniej w najbliższych latach: nawet na wodzie płyną okręty dopiero od 43 lat prędzej aniżeli ryby w wodzie. Oczywiście, że przeważna ilość żywych organizmów wykazuje daleko mniejsze szybkości. Tak np. stworzenia jednokomórkowe, które śledzić można tylko pod mikroskopem, poruszają się z szybkością około 30 cm na godzinę. Plankton w wodzie porusza się z szybkością około 100 razy większą t. j. 30 m na godz. Takie ryby jak karp robią 1 i pół km/godz., łosoś dochodzi do 11 km., wieloryb do 38 km. na godz., delfin natomiast do 37 km/godz. Na wodzie pływają pewne węże z szybkością 15 km/godz. Natomiast człowiek osiąga w pływaniu około 6 km/godz. 10 razy prędzej porusza się człowiek na transatlantyku np. na „Queen Mary" a Sir Malcolm Campbell osiągnął na swojej łodzi motorowej blisko 200 km/godz.

Inną konkurencją, w której człowiek dotąd zbytnio się nie popisał w porównaniu ze zwierzętami, to szybkość poruszania się wgłąb ziemi. Tu np. taka dżdżownica porusza się z szybkością wynoszącą od 1 i pół do 3 metrów na godzinę. Budowa tuneli podziemnych dawała w rezultacie zaledwie 3 metry do 4 i pół na godzinę, a w twardym głazie inżynierowie z najlepszemi narzędziami osiągają zaledwie jedną trzecią szybkości dżdżownicy.

Inż. J. A.


Chart — 57 km.

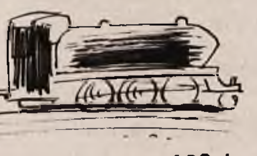

„Queen Mary" — 60 km.


Osioł — 64 km.


Koń wyścigowy — 72 km.


Kangur — 72 km.


Złoty orzeł — 180 km.


Lokomotywa — 180 km.


Motorówka — 200 km.


Samochód — 530 km.


Samolot — 700 km.

*Dokończenie ze str. 2-ej.*

Korespondencja urzędowa traktowaną była poufnie, jako pismo „tajne, ważne, pilne, prezydjalne". Tem prędzej więc dostało się do publicznej wiadomości.

Sienkiewicz odgadł ten w przyszłości zaostrzony targ między rządami zaborców o duszę polską.

Szkoda że w pośmiertnych wydaniach jego listów tak mało jest wspomnień z rozmów z nim, jak to cytowane po cichu w Krakowskiem Kole literacko-artystycznem.

Rzecz prosta, że atmosfery zainteresowań kasyn nie możnaby utożsamiać z oceną działalności i wpływu danego pisarza. Byłoby to pomyłką i nieporozumieniem.

Typowym tego przykładem był stosunek do Przybyszewskiego.

Ten poeta, na gruncie galicyjskim, a później warszawskim, ktoś „nowy" nie miał pańskiej postawy Sienkiewicza, ani fantazyjnej maski Paderewskiego. Wyglądał niepozornie, ubrany biednie i niedbale. Głosił myśli niepojęte. To też kasyna wyśmiewały go i jego idee nadczłowieczeństwa i sztuki wyzwolonej z zasad społecznych. Nie wiedziano, że daje on początek tego ruchu, umysłowego i uczuciowego, który nazywa się Młodą Polską.

Rozumieli to nieliczni.

Kazimierz Tetmajer, na łamach tygodnika „Życie", redagowanego przez Artura Górskiego uczcił Przybyszewskiego słowami, jakiemi Teofil Gautier witał Baudelaire'a.

— Panowie! Zdejmijcie kapelusze! Oto gieniusz!...

*Dokończenie ze str. 7 ej.*

wkrótce, muszą nastąpić zmiany, ale to przecież nie jest taka sztuka zmienić farbę w kałamarzu maszyny drukarskiej!

Łącząc wyrazy czci i poważania, pozwalam sobie — Panie Ministrze — prosić o łaskawą odpowiedź na postawione przezemnie pytania.

„Filatelista".

Ostatniemi nowościami, które ukazały się w handlu, są szwajcarskie znaczki wystawowe, oraz blok Estonji. W Anglji serja bieżąca została uzupełniona przez wartość za 5 pensów (brązową), a zapasy wyższych wartości muszą być jednak bardzo poważne, skoro dotąd znajdują się jeszcze w obiegu znaczki z wizerunkami króla Jerzego V.

Szwajcarja wydała nie jedną, ale aż trzy prawie że identyczne serje propagandowe z okazji narodowej wystawy, która odbędzie się w Zurychu. Różnica polega tylko na napisach ,które umieszczono w trzech językach, jakiemi rozmawiają obywatele Helwecji. Wobec tego, że nie pobiera się dopłaty dobroczynnej, znaczki te będą napewno dostępne dla wszystkich. Druk wielobarwny wykonany jest oryginalnie, ponieważ kompozycyjna część to staloryt, wzgl. heliograwura (30 c), a czerwony kolor jako tło białego krzyża przeniesiono z czcionki na papier. Całość robi bardzo sympatyczne wrażenie podczas gdy np. blok estoński jest raczej mdły.

Znaczki F. I. S. ukazały się 7 lutego i są może najbardziej efektowną serją polską. — Wydano 4 sztuki za 15, 25, 30 i 55 gr.

Zagranica poszukuje z wielką natarczywością lepszych sztuk serji jubileuszowej, a tak modne znaczki sportowe będą napewno rozchwytywane w oka mgnieniu. Finlandja wydała w 1938 r. serji „FIS" aż 400.000 i mimo to są one dzisiaj już trzechkrotnie droższe niż rok temu, tak że napewno większy zapas nabytego obecnie wydania z okazji mistrzostw narciarskich świata w Zakopanem będzie wkrótce źródłem, przynoszącem w zamianie o wiele cenniejsze znaczki, niżby się tego można było spodziewać. Nie rokowaliśmy wielkiego powodzenia blokom t. zw. „rumuńskim" i dzisiaj katastrofalna zniżka na 4 zł. (!) przy dawnej wartości okienkowej 7 zł. sprawdziła nasze oczekiwania, teraz natomiast jest już prawie pewnem, że tak „pomoc zimowa", jak i wydanie FIS przyniesie posiadaczom wcale poważne zyski.

Prowadziliśmy swego czasu polemikę z jednym z Czytelników na temat, który blok będzie droższy: „Pexip", czy „Ostropa", no i dzisiaj nie potrzebujemy dodawać, że racja była po naszej stronie. Pragniemy więc tylko, aby pewne doświadczenie, którem się możemy pochwalić, mogło być wykorzystane przez tych, którzy są dopiero początkującymi filatelistami.

Tak więc niedawno ukazał się we Francji znaczek za 90 c. w kolorze zielonym (symbol pokoju) i wobec tego, że dodatki nie notują zawsze zmian ceny, można się tylko zorjentować po cenie żądanej przez firmy (10 franków), że będzie to coś niezbyt pospolitego. Oczywiście, że i we Francji podniosły się głosy oburzenia, wobec tego, że emitowano jedną sztuką (tylko w nakładzie 300.000), skoro po 2 tygodniach trzeba było zmienić jej kolor.

Przykład ten dowodzi, że bałaganik w emisjach francuskich jeszcze długo nie będzie uleczony, ale chyba tak zły przykład nie powinien oddziaływać na nasze stosunki!

W. H.

*Dokończenie ze str. 17-ej.*

Najświetniej rozwinęły się stacje zimowe w Szwajcarji. Miejscowości takie, jak Davos, St. Moritz, Mürren, Engelberg, Wengen i cały zastęp pomniejszych dobrze są znane w całym świecie. Zimowiska te zostały poniekąd „odkryte" przez bogatą publiczność angielską, która nie mając u siebie dogodnych do uprawiania sportów zimowych terenów, wędruje co zimę w Alpy, aby tam zażyć dowoli rozkoszy jazdy na nartach, zjazdów na saneczkach i pięknych ewolucyj na lodzie.

Rokrocznie zimowiska szwajcarskie rywalizują ze sobą co do obfitości i różnolitości programu imprez sportowych. Wszystkie z nich organizują wielkie zawody narciarskie w konkurencjach zjazdowych, wykorzystując do tego celu liczne kolejki zjazdowe. St. Moritz słynie pozatem jako miejsce wspaniałych zimowych wyścigów konnych, rozgrywanych na zamarzniętem jeziorze. Tutaj także znajduje się słynny tor bobslejowy „Cresta Run", na którym szaleją liczni kierowcy amerykańscy i angielscy na bobslejach względnie skeletonach, czyli małych saneczkach, przeznaczonych do zjazdów pojedynczych.

Dzisiaj supremacja zimowisk szwajcarskich przeszła już do historji. Zachęcone powodzeniem Szwajcarji także i inne stacje zimowe postarały się o to, aby ściągnąć publiczność do siebie. W ostatnich czasach w pomoc przyszły im przepisy dewizowe, które poprostu ograniczają możliwości wyjazdowe turystów zagranicę i kierują ich do miejscowości swego kraju. Niejeden z nich przekonał się przy tej sposobności, z konieczności, o tem, że znane przysłowie „cudze chwalicie — swego nie znacie", może znaleźć zastosowanie także i w odniesieniu do stacyj zimowego sportu.

Niektóre z tych stacyj doszły do rozgłosu tylko dzięki wielkim zawodom sportowym. Odnosi się to np. do słynnego dziś dzięki Igrzyskom Olimpijskim, rozegranym w r. 1936: Garmisch-Partenkirchen. Jest to miejscowość, położona u stóp najwyższego wzniesienia Alp Bawarskich — Zugspitze. Uruchomiona tuż po wojnie kolej zębata na Zugspitze, kolejki linowe na Kreuzeck i na Wank, tereny łyżwiarskie na jeziorze Riessersee i Eibsee, oraz naturalne tereny narciarskie, obok wspaniałego sztucznego toru lodowego i toru bobslejowego, czynią z tej miejscowości prawdziwe El-Dorado sportów zimowych. Dzisiaj mało który z Niemców wyjeżdża dla sportu zagranicę, gdyż postarano się o to, aby wszystkie te przyjemności miał u siebie w kraju.

Obok Garmisch-Partenkirchen Niemcy mają wiele innych zimowisk, jak np. słynne z pobytu Kanclerza Hitlera Berchtesgaden, lub z widowisk pasyjnych Oberammergau itd. Wymienić jeszcze należy miejscowości, położone w dawnej Austrji, które weszły w skład państwa niemieckiego, jak St. Anton, Innsbruck, Semmering itd. Niemcy jednem słowem nie mają powodu uskarżać się na brak stacyj zimowych wysokiej klasy.

Igrzyskom olimpijskim, jak i zawodom F. I. S. zawdzięcza swoją sławę najpopularniejsza miejscowość zimowa we Francji — Chamonix. W miejscowości tej odbyły się Igrzyska Olimpijskie w r. 1924, a w r. 1937 zawody FIS. Także i tutaj mamy kolejki linowe, tory lodowe itp. urozmaicenia pobytu. Dzisiaj Chamonix dorównuje sławą i popularnością najlepszym miejscowościom Szwajcarji.

Narciarstwo ma swego entuzjastę w osobie wodza Włoch — Mussoliniego. Włosi jeżdżą do Cortina d'Ampezzo. Odbywają się tam rokrocznie wielkie zawody zjazdowe. Rywalizuje z Cortiną inna miejscowość a mianowicie Sestrieres, gdzie rozgrywają się rokrocznie wielkie zawody narciarskie o puhar króla Włoch.

Każde niemal państwo ma swoje główne zimowisko, które urasta do miana „zimowej stolicy". Tak więc Jugosławja ma Ratege-Planicę, słynną ze swojej skoczni, na której Tyrolczyk Bradl uzyskał odległość przeszło sto metrów. Węgrzy mają swoje Matrahaza, Czechosłowacja ma szereg miejscowości na południowej stronie Tatr, jak Szczyrbskie Jezioro (Strbske Pleso), Tatrzańską Łomnicę, Smokowiec itd., Szwecja daleko na północy ma Solleftea, gdzie odbyły się zawody FIS w r. 1934, Finlandja ma swoje Lahti, również wsławione zawodami FIS w r. 1938, gdzie Marusarz zdobył wicemistrzostwo świata. Norwegja nie zna w gruncie rzeczy pojęcia tego rodzaju zimowiska, gdyż wszyscy jeżdżą na nartach w pobliżu swych miast i wsi. Powszechnie znaną jest jednak miejscowość Holmenkollen, gdzie co roku odbywają się wielkie zawody narciarskie.

Nie na szarym wcale końcu maszeruje w tym zespole zimowisk nasze Zakopane. Umiejętna polityka inwestycyjna uczyniła w ostatnich latach z Zakopanego ważny ośrodek sportów zimowych, który jest w stanie ściągnąć do siebie licznych turystów zagranicznych, zwłaszcza teraz, kiedy niejeden z tych turystów nie może czy nie chce jechać do tak popularnych dawniej miejscowości tyrolskich. Wspaniały łańcuch Tatr stanowi naturalną podstawę, która swoim urokiem musi przemówić do każdego, kto ją raz zobaczył. Tegoroczne zawody FIS-u, które odbywają się w Zakopanem podkreślą jeszcze znaczenie naszej „zimowej stolicy" — czyniąc z niej rendez-vous całego sportowego świata.

Wspomnieć należy także i o Krynicy, która jednak słynie przedewszystkiem ze swoich wartości uzdrowiskowych i kąpielowych, ma jednak także i swój bogaty program sportów zimowych, również inne zimowiska, położone we Wschodnich Karpatach, jak Worochta, Sławsko itd., rozwijają się korzystnie.

Gdy więc nadchodzi zima — każdy robi plan kampanji, oblicza środki i kalkuluje wyjazd w góry. Bo minęły już czasy, kiedy do tych wielkich stacyj zimowych jeździły tylko grupki najzamożniejszych. Dzisiaj stacje te musiały się nastawić na skromniejsze możliwości „szarego turysty". Turystyka „elitarna" przeszłości zamieniła się w „turystykę popularną" czasów dzisiejszych. Zyskały tylko na tem zimowiska, które w miejsce kilkunastu zamożnych wycieczkowiczów mają zwartą, na dziesiątki tysięcy obliczaną rzeszę młodzieży i starszych, wędrujących w góry po sport i zdrowie.

L. R-l.



POLA ELIZEJSKIE

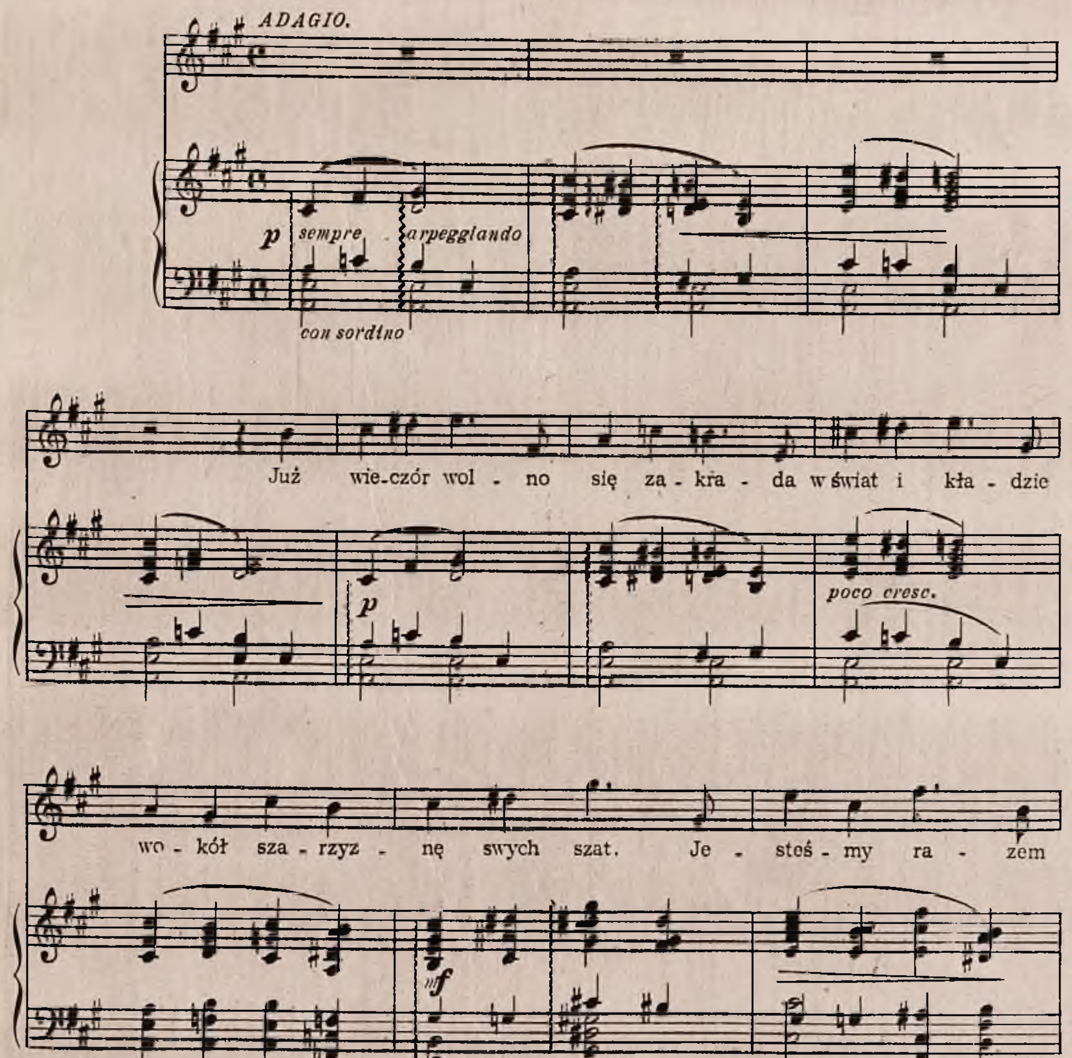
*Fot. Anders*

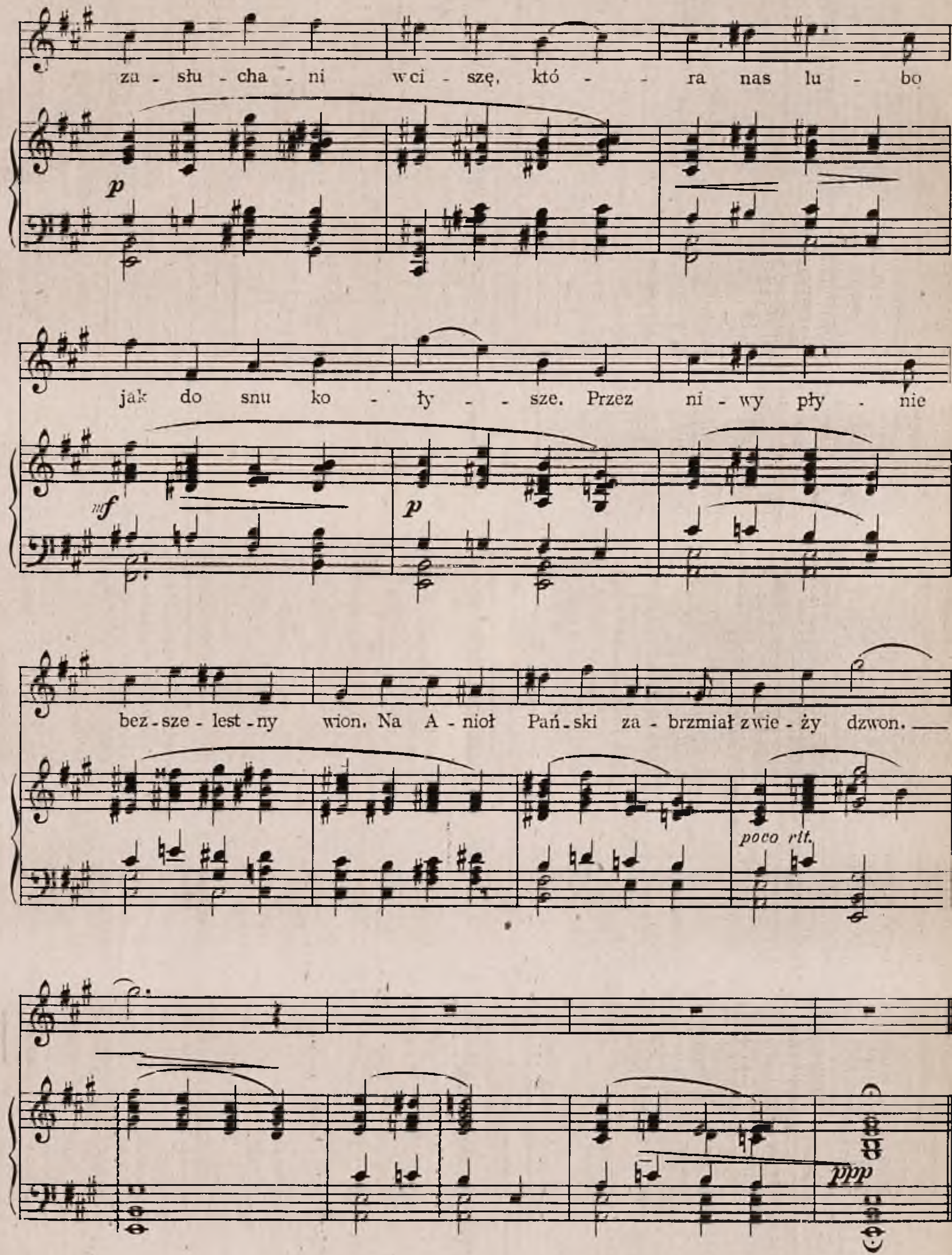


# Wieczór

PIEŚŃ

SŁOWA I MUZYKA:
LUDWIK MASCHOFF



# OD SCENY DO SCENY...



Walentyna Alexandrowicz, wybitna artystka dramatyczna i pisarka, odniosła duży sukces literacki i artystyczny w Wilnie, gdzie wystawiono jej dramat p. t. „Jej syn".



Kazimiera Szyszko-Bohusz należy do najzdolniejszych artystek najmłodszego pokolenia. Jej Solange w sztuce „Lato w Nohant" Iwaszkiewicza była wielkiem osiągnięciem aktorskiem. Obecnie artystka występuje w teatrze Polskim w Poznaniu.



Celina Niedźwiedzka, artystka o dużej skali talentu, świetna odtwórczyni ról głęboko psychologicznych, występowała w ostatnich miesiącach w Teatrze Kameralnym w Warszawie.

Teatry przekroczyły granicę połowy sezonu 1938/39. W wielu dyrekcjach czyni się prędko rachunek sumienia artystycznego, by ewentualnie „nadrobić" zaległości i niedobór repertuarowy, a koniec sezonu zamknąć sprawozdaniem o poważnych rezultatach. Kilka zaledwie teatrów polskich poszczycić się może już do dziś dnia nadzwyczaj pięknym i wysoko wartościowym dorobkiem. Do tych scen należy przedewszystkiem teatr Jaracza, który dał świetne przedstawienie „Świętoszka" Moliera, a obecnie gra znakomitą nową sztukę Szaniawskiego „Dziewczyna z lasu". Dalej wybitne pozycje w życiu tearalnem zajmują: teatr krakowski im. J. Słowackiego, który, poza dziełami wielkiego repertuaru, jak „Balladyna", czy „Klątwa", premjerami polskiemi jak „Baba dziwo" Jasnorzewskiej, czy „Pieśń o Beniowskim" Smólskiego, wystawił kilka bardzo ciekawych nowości zagranicznych oraz teatr Miejski w Wilnie, który po „Wyzwoleniu", Wyspiańskiego i „Sędzim z Zalamei" Calderona, po sztukach Kossowskiego i Walentyny Alexandrowicz, przygotowuje polskie prapremjery, sztuki J. Ostrowskiego, W. Pawłowskiego i eksperymentalny utwór Witkiewicza.

Teatry Szyfmana w Warszawie dają w bieżącym sezonie wybitne nowości polskie, jak dotąd Iwaszkiewicza czy Cwojdzińskiego; obecnie Teatr Polski gra najnowszą komedję Morstina: „Obrona Ksantypy".

Inne teatry polskie pracują również sumiennie i ciekawie. Zdobywają publiczność, wychowują ją teatralnie, a równocześnie młodym pokoleniom aktorskim pozwalają się rozwijać dojrzałym zaś dają możliwości stworzenia nowych kreacyj.



Melodyjną operetkę Herve'go „Nitouche" w opracowaniu L. Schillera grają teatry miejskie w Łodzi. Na zdjęciu (od lewej) K. Korwin, N. Wilińska, A. Zasadzianka i J. Mroziński, odtwórcy ról głównych.



„Subretka" Devala stała się wielkim sukcesem teatru wołyńskiego pod dyrekcją J. Strachockiego. — Na zdjęciu (od lewej) J. Maliszewski, R. Tomaszewska, L. Barwińska, S. Dąbrowski i C. Klimczakówna w jednej ze scen komedji.





„Miłość będzie naszym wynalazkiem" — oto tytuł komedji Corra i Achilla, granej obecnie w teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie z dużym sukcesem artystycznym. — Zdjęcie lewe przedstawia scenę z I aktu komedji z pp. Ziejewskim, Jabłonowską, Arczyńską, Macherskim, Jaroszewską i Wernicz. Na prawo: Narada dyr. Karola Frycza z reżyserem komedji J. Karbowskim, uchwycona objektywem fotografa p. J. Szwedy.

# „Zdobycz numer 332"

JOANNA SZEFEL

NOWELA

— Witold! Ty tutaj? Na długo?

— Serwus, Marjan! Na tydzień przyjechałem. Siadajże.

— Można? Nie czekasz na nikogo? To świetnie. Teraz jakoś często wpadasz do Warszawy?

— Kiedy tylko mogę. Ciągnie mnie do tego miasta. Może dlatego, że tu spędziłem dzieciństwo i młodość... Zapalisz?

— Proszę. Jaką masz ładną papierośnicę? Pokaż! ho, ho, złota! monogram z brylancików. Toż to cały majątek. Nie boisz się tego nosić ze sobą?

— Nie. Jak dotąd — nikt się na nią jakoś nie złakomił. Raz ją zgubiłem, i, wyobraź sobie! Jakiś fantastycznie uczciwy znalazca oddał mi ją — jak mógł najszybciej. To dla mnie miła pamiątka. Dostałem ją na setnem przedstawieniu „Wenus na wygnaniu", gdzie grałem rolę Jana. Było to w Poznaniu, blisko dwa lata temu.

— To dziwne, że cię tu spotykam, i o takiej wczesnej godzinie. O ile wiem, nie zwykłeś chodzić do kawiarni przed północą.

— Zmieniłem nawyczki — zresztą jestem na urlopie. To dość miła knajpa. Już trzeci dzień z rzędu tu jestem.

— Tak. Orkiestra niezła, i dużo ładnych kobiet. Naprzykład tamta...

— Która? Ta pod oknem? Podoba ci się?

— Pierwszorzędna, czyż nie?

— Owszem, jakaś egzotyczna uroda.

— Fascynująca kobieta. Egipt, Turcja, czy co? Nie wiesz, kto to jest?

— Skąd? Kelner także nie wie. Nietutejsza. Trzeci wieczór już ją widzę samą. Pomyśl! Taka kobieta — sama!

— Rzeczywiście! A jak ubrana! Ech, żeby tak mieć ze dwadzieścia lat mniej...

— Tak, no cóż, nie jesteśmy już młodzi...

— Co tam ja! ja się właściwie nigdy nie podobałem kobietom — jużem to przebolał. Ale ty, ty! Dawniej taki pożeracz serc niewieścich! Przecież wiem: żadna ci się nie oparła. Setki, co najładniejszych przechodziły ci przez ręce. Byłeś ich bożkiem! — piękny wytworny, sławny... Lubiłeś tę rolę, prawda? pasjami... Ale cóż, wyrosłeś z niej, niema się co łudzić! Już ci chyba — ze dwa lata temu — pięćdziesiątka „stukła"? Tak, o rok tylko jestem młodszy od ciebie. To był ładny jubileusz... Ale jak ty się już zdarłeś! W aktorstwie to szybko idzie. — Twarz masz pomarszczoną, oczy takie podkrążone... Przetarła ci się też ta lwia grzywa, posiwiała... Ech, — tyś już nie ten, co dawniej! Ale zato talent! — talent coraz świetniejszy! Wielbiceli ci nie brak?

— Ani wielbicielek — uśmiechnął się Witold. Może trochę przesadzasz, mój drogi z tą moją starością? Czy ty naprawdę sądzisz, — że ja się już przestałem podobać kobietom? Ależ bardziej, niż kiedykolwiek, zapewniam cię. Chcesz dowodów? Więc proszę: w tym notesie prowadzę sobie moją buchalterję miłosną. Spójrz! — ostatnia liczba porządkowa: 331, Poznań, 18 luty. imię: — Stefanja, znaki szczególne — ale mniejsza z tem. Tydzień temu osiągnąłem ten numer, — powiadam ci: wprost bajeczna kobieta! A wiesz, na co mam ochotę? Zacznę flirtować z tą nieznajomą, której widok tak cię ekscytuje. To będzie zdobycz nr. 332. — Nie wierzysz?

— Czy nie przeceniasz swoich sił? W twoim wieku...

— Jeżeli nie wierzysz — załóżmy się, dobrze?

— Ja tylko podziwiam twoją odwagę...

— O co zakład? O tę papierośnicę, dobrze?

— Zbyt cenna — jeżeli przegrasz, będziesz mnie przeklinał. Ale — niech będzie. A jak mnie przekonasz, żeś wygrał?

— Przyjdę z nią do ciebie jutro, rano. Będziemy na „ty". Pozwolę ci nas podglądać. Ach, sposobów jest tysiące.

— Zgoda — ale pamiętaj, że stawka jest wysoka!

— Dla mnie jest ważniejsze to, że się okaże, czy ja mam w tej grze istotne atuty, czy tylko się łudzę, że je mam...

Zaledwo Witold został sam, — nieznajoma zaczęła się zabierać do odejścia. Zdawało mu się, że wychodząc rzuciła mu przez ramię spojrzenie... Pospieszył za nią i na ulicy zbliżył się z ukłonem. Rozglądnęła się trwożnie.

— Nie teraz! — szepnęła. Niech pan idzie za mną!

Kroczył więc za nią radośnie i dumnie, stwierdzając w duchu, że zwycięstwo zapowiada się nawet zbyt łatwe!

Weszli do wielkiej kamienicy, na jednej z bocznych ulic. Z trudem nadążał nieznajomej, przez rozliczne korytarze, sionki i przedpokoje. W pewnej chwili podała mu rękę. — Niech pan uważa! szepnęła. — Tu są schodki!

Ucałował kilka razy tę upierścienioną dłoń. Był w świetnym humorze; przygoda zapowiadała się coraz ciekawiej.

Wreszcie znaleźli się w dużym, dobrze umeblowanym pokoju. — Jej kawalerka? — pomyślał, rozbierając się. Zresztą — co mnie to obchodzi! — najważniejsze, że jesteśmy sami, a ona bez kapelusza jest jeszcze ładniejsza...

Odwróciła się wreszcie od lustra i podeszła do niego. — Nareszcie — powiedziała z uśmiechem. Nareszcie — z panem. Tu nikt nie przyjdzie.

— Usiądźmy na tym tapczanie, dobrze? Proszę mnie nazywać: Olga. Pana musi bardzo dziwić moje zachowanie?

— Nie tyle dziwi, co cieszy — uszczęśliwia... Pani Olgo, zapali pani?

— Dziękuję panu, nie palę. Proszę, tu poduszka — oprzeć skronie.

— Siwiejące coraz więcej —

— Kochane... Proszę siąść wygodnie. Musi mnie pan wysłuchać — a mam dużo do powiedzenia. Nazbierało się przez tyle lat... Pan sądzi, że to pan na mnie polował? Nie — to ja pana porwałam i uprowadziłam, a teraz nie puszczę...

— Najmilsza niewola...

— Aż trzy dni musiałam czekać w tej kawiarni... Myślałam, że pan odrazu podejdzie i przywita się, ale pan oczywiście nie pamiętał.

— Więc myśmy się już kiedyś poznali?

— Właściwie znaliśmy się tylko z widzenia... To jest: ja pana znałam, bo pan na mnie, Witoldzie — nie zwracał nawet uwagi. Byłam wtedy podlotkiem — miałam szesnaście lat. To było dawno — kilkanaście lat temu. Mieszkałam naprzeciw — na ulicy Wielkiej... pamięta pan to mieszkanie? Widywałam pana codzień —

— Ale ja tam miałem pokój od podwórza?

— Właśnie. Wieczorami, cichaczem biegłam bocznemi schodami na ganek — pod twoje okno — i podglądałam cię. Kochałam się w tobie — byłeś moją pierwszą, i dotąd jedyną miłością. Beznadziejną — bo wówczas nie chciałeś nawet spojrzeć na mnie. Odurzała cię sława, piękne kobiety — a ja — cóż — byłam tylko brzydkim, bladym podlotkiem, z długiemi nogami, z warkoczami na ramionach... Pisywałam do ciebie płomienne listy — nie odpisałeś mi nigdy — możeś ich nie czytał... Przez nikogo nie nacierpiałam się tyle, co przez ciebie. — Potem wyjechałeś, przeszły lata. Dojrzewałam — poznałam mężczyzn — ale żaden z nich nie dorównywał tobie... Inni mnie kochali — ty nie. Ta myśl zatruła mi niejedną chwilę. Gdy cię po latach kilka dni temu zobaczyłam — pierwszą moją myślą było: zemścić się na tobie. Drugą: zwabić do siebie, rozkochać i dokuczyć — a trzecią i ostatnią: kochać. — — Dokończyła szeptem.

— Prawda to? — Zapytał patrząc w jej oczy. —

Wytrzymała jego spojrzenie bez drgnienia. Nagle — w przedpokoju zadzwonił telefon. Olga podniosła się niechętnie. Usłyszawszy, że to rozmowa z kobietą — Witold wstał, i przeglądnął się w lustrze. — Stwierdziwszy, że wygląda zupełnie młodo i przystojnie — radośnie podniecony zaczął wędrówkę po pokoju.

— Ach, cóżto za cudowna przygoda! — powtarzał sobie w duchu. — Cóż za niespodzianka! Poznać nagle taką kobietę, i to zakochaną! Gdyby tak Marjan mógł widzieć — jak mu już niedaleko do wygrania zakładu! Wściekłby się chyba z zazdrości!

Gdy Olga wróciła, przyciągnął ją gorąco do siebie.

— Strasznie się cieszę kochanie — szepnęła, zarzucając mu ręce na szyję — ale ja teraz muszę już iść.

— Teraz? Nigdzie cię nie puszczę! Kto to dzwonił?

— To moja koleżanka z radja. Bo ja, widzisz, śpiewam w radjo. Zapomniałam zupełnie, że dziś jest ważna próba. Aż mnie odszukali! Więc muszę tam iść. No, bądź grzeczny, idź teraz, idź sam! Nie chcę żeby nas razem widziano. Wytłumaczę ci to wszystko — jutro. Przyjdziesz tu znowu jutro, dobrze? Pocałowała go, kładąc mu dłoń na sercu.

— Jakże ja mogę teraz odejść? wymamrotał, odwzajemniając jej pocałunki.

— Jutro, o ósmej! — powiedziała, wyrywając mu się z objęć. — Pomogła mu się ubrać, i lekko wypchnęła na korytarz.

Szedł oszołomiony, potykając się co krok. Wsiadł do pierwszego z brzegu tramwaju i sięgnął po papierośnicę. Ale napróżno przeszukiwał wszystkie kieszenie — papierośnica zniknęła. Wtedy oprzytomniał. Wyskoczył z tramwaju i biegł zpowrotem. Z trudem odnalazł drzwi — przed chwilą: wrota Sezamu — były zamknięte na głucho. W bezsilnej złości zaczął w nie walić pięściami.

— Co pan robi? Czy pan zwarjował? — Z głębi korytarza starczym głosem odezwała się jakaś przerażona kobiecina.

— Czy to pani mieszkanie? Tu mieszka ta pani... taka ładna... bo ona...

— Niby mieszka, ale ja jej nie znam. Nawet nie wiem, jak się nazywa. Dziś oglądnęła pokój, powiedziała, że wynajmie, dała mi zadatek — papiery miała przynieść. —

— To jej pani więcej nie zobaczy! — krzyknął Witold, już na schodach. I nacisnąwszy kapelusz na oczy — odszedł.

Zaliczyć do nich wypada przedewszystkiem dwa reprezentacyjne bale filmu polskiego w salonach Adrji, które były prawdziwą rewją gwiazd ekranu i sceny oraz doroczny Bal Prasy.

Miasta prowincjonalne, które z mniejszem lub większem powodzeniem starają się dotrzymać kroku stolicy, bynajmniej nie zrezygnowały z rozkoszy imprez karnawałowych, urządzając je może w mniej wspaniałych ramach, zato często z lepszem wyczuciem rytmu zabaw tanecznych.

Kraków, który szczyci się tradycją bali i maskarad w najlepszem wydaniu z lat dawnych, zapisał tego roku w karnecie szereg udanych imprez. I jak w Warszawie clou karnawału stanowi Bal Mody, tak w Krakowie gros zainteresowania skupia się co roku wokoło Reduty Prasy Syndykatu Dziennikarzy Krakowskich, łączącej umiejętnie charakter reprezentacyjny z walorami finezyjnej zabawy tanecznej, gromadzącej w salonach wytwornego Grand Hotelu sfery towarzyskie, artystyczne, przemysłowe Krakowa i okolicy. Tegoroczna Reduta Prasy S. D. K. zasłużyła w pełni na miano udanej imprezy. — Punktem kulminacyjnym zabawy stał się wybór królowej Reduty na rok 1939, którą została p. Loda Kaczyńska i króla Reduty, którym obrano p. Stanisława bar. Gostkowskiego. Wicekrólową obwołano p. Tadeuszową Rowińską, a wicekrólem p. Jana Bohdanowicza. Niemniejszem zainteresowaniem cieszył się turniej taneczny w kilku grupach, w którym zwycięskie pary zdobyły liczne cenne nagrody, oraz wybór pani o najpiękniejszym uśmiechu, wyróżnienie najbardziej pomysłowego i aktualnego kostjumu i in.

Niezwykle udanym i wytwornym był również bal ziemiański w salonach „Resursy Krakowskiej" gromadząc elitę inteligencji i ziemiaństwa bliższej i dalszej okolicy.



Gen. Bernard Mond i dyr. inż. Dyduch na balu Zakładów L. Zieleniewski w Krakowie.



Primabalerina Olga Sławska w towarzystwie radcy ambasady rumuńskiej p. Dimitrescu i hr. Potulickiego z M. S. Z. na Balu Mody w Warszawie. — Fot. „As".



P. Janina Jabłonowska, art. Teatru Słowackiego w towarzystwie dyr. inż. Dubieńskiego na balu Zakładów L. Zieleniewski w Krakowie.



P. Elżbieta Kryńska, wicekrólowa piękności na Balu Mody w Warszawie w towarzystwie gwiazdora filmowego Mieczysława Cybulskiego, obwołanego wicekrólem mody. Fot. „As".

## REDUTA PRASY W KRAKOWIE.



Wicekrólowa Reduty Prasy S. D. K. p. Tadeuszowa Rowińska (x) w towarzystwie dyr. Henrykostwa Paschalskich i p. Zborowskiego (na prawo).

Inne zgoła oblicze posiada karnawał w uzdrowiskach. Tańczy się tam o każdej porze dnia i nocy, w chwilach „wolnych od zwykłych zajęć sportowych", a więc często w stroju, w którym co dopiero wróciło się z nart, ślizgawki lub saneczek. I tylko czasem w wielkiej sali jakiegoś wytwornego hotelu zbiera się ten światek sportowy późnym wieczorem w tualetach i strojach balowych, by w ramach specjalnej imprezy tanecznej wystąpić więcej oficjalnie i zaakcentować swą przynależność do wielkiego świata.

J. L.





Loża artystyczna. Siedzą od lewej: p. Wacław Nowakowski, p. dyr. Winiarz, p. Wanda Niedziałkowska, p. Kazimierzowa Malecka i in. — Na prawo: Jedna z licznych grup towarzyskich na Reducie. Siedzą od prawej: red. Marja Rublowa, dr Karol Hendrich, p. Carlotta Biegańska, p. Skrzyński, p. Jadwiga Hendrichowa, red. Juljuszowa Mieroszewska, red. Ksawery Pruszyński, red. Juljusz Mieroszewski, red. Ludwik Rubel, red. Ksawerowa Pruszyńska i prof. Lednicki.

*Zdjęcia Fot. Z. Garzyński, Kraków*



★ NOWOCZESNA KOSMETYKA ★

# Parówka ramion

★

Niema pięknych ramion bez należytej pielęgnacji i bez naturalnej ekspresji ruchów, pełnych wytwornej, niedbałej elegancji. Pisząc te słowa, niedbałej elegancji, mamy na myśli ten rodzaj elegancji, który pozwala przypuszczać, że nie dbamy o każdy ruch z osobna, nie studjujemy go w ostatniej chwili, lecz jest on jakby zrośnięty z nami i przyrodzony. Nie znaczy to jednak, że kto nie posiada wrodzonej elegancji, nie może jej w sobie wyrobić. Wprost przeciwnie. Baczna obserwacja dobrych przykładów i stopniowe przyswajanie ich sobie, dają w sumie i ogólne maniery i pożądaną elegancję ruchów.

Nie mogą te sprawy być bez znaczenia w dobie, kiedy moda ukazuje ramiona kobiet w całej ich okazałości. Tak więc obok najważniejszego motywu zdrowia, mamy motywy praktyczne, które nakazują każdej pięknej pani, czy też takiej, któraby nią być chciała, dbałość o należyte utrzymanie ramion, a przedewszystkiem mięśni, warunkujących ich prawidłowy wygląd, skóry, decydującej o ich uroku i wytwornej elegancji ruchów.

Jednym z ważnych zabiegów około wyglądu skóry i mięśni ramion jest częściowa parówka. Zabieg to bardzo łatwy do zastosowania w każdym domu i nie pociągający za sobą żadnych kosztów, a nader korzystny w działaniu.

Nad miedniczką, napełnioną gorącą wodą i nakrytą ręcznikiem, wspieramy ramiona i przez 10 minut poddajemy je działaniu, wydobywającej się przez ręcznik, gorącej pary. Zaraz potem polewamy ramiona wodą letnią o temperaturze 32 st. Celsiusza, a następnie wodą chłodniejszą o temperaturze 15 st. Cels. Działanie parówki i polewania wodą jest podobne do

**Poniżej od lewej: Przygotowanie parówki: gorącą wodę w miedniczce nakrywamy ręcznikiem, następnie zaś — trzymamy ramiona nad parą wydobywającą się z miedniczki.**





działania natrysków t. zw. szkockich, które polegają na zmieniającej się szybko temperaturze wody. — Błogosławione ich skutki, znane wielu osobom, zachęcą do stosowania podanej tutaj kuracji ramion.

Przez pobudzenie naczyń krwionośnych do szybszego obiegu krwi wzmacniają się mięśnie ramion, co zwłaszcza jest polecenia godne u osób, mających nadmiernie wiotkie mięśnie ramion, powodujące braki w ich pożądanem zaokrągleniu. Także i dla samej skóry zabiegi takie są bardzo zbawienne, tembardziej, gdy do parówki dodamy nieco rumianku, zagotowanego w wodzie, przygotowanej na parówkę. Skóra wydelikaca się, gdyż oczyszczona zostaje radykalnie i głęboko, a następnie, rozszerzone w cieple pory, ściągają się pod wpływem polewania zimną wodą

Zakończeniem parówki i polewania rąk będzie lekkie natłuszczenie ich kremem, stosownym do rodzaju skóry, a więc tłustszym dla rąk suchszych lub wysuszającym dla rąk o skórze wydzielającej zbyt wiele tłuszczu. Nie zapomnijmy przy tej sposobności zapudrować lekko rąk pod pachą dobrym pudrem dla dzieci, który zapobiega poceniu się i dobrze konserwuje ciało.

Ale jak powiedzieliśmy na wstępie, niema pięknych ramion, nietylko bez pielęgnacji, ale też bez ładnej ekspresji ruchów, pełnej wytwornej elegancji. — Poświęćmy i tej sprawie od czasu do czasu trochę czasu i starań. Oto jeden ze sposobów:

Stanąwszy przed lustrem, wyciągnijmy ramiona w bok i zwolna wprawiajmy je w ruch falisty, poczynając od ramiona i przenosząc to falowanie ku dłoniom aż do końca palców. Naśladujemy w ten sposób ruch skrzydeł mewy lub poprosty często przez klasyczne tancerki używany motyw. Takie ćwiczenie będzie podstawą do wyrobienia ładnej ekspresji ruchów.

**Elwira.**

# Jak uzupełniamy wieczorową toaletę?



Od lewej: Do czarnej tualety świetnie się nadaje płaszcz z niebieskiego aksamitu. — Suknie „princesse" nosi się pod wąskim, obcisłym płaszczem, przybranym u dołu puszystem futrem. — Kapturek z pelerynkowym kołnierzem z tiulu chroni doskonale wieczorową fryzurę. Rys. Ewa Leo.

Paryżanki, cieszące się zasłużoną opinją najlepiej ubranych kobiet na świecie, twierdzą — że prawdziwa elegancja nie polega na wyborze sukni, lecz towarzyszących jej akcesorjów. Najprostszy, najskromniejszy strój staje się wyszukanie wytworny, gdy towarzyszą mu odpowiednio dobrane i pomysłowe „petits riens", tualetowe „imponderabilia" będące kropką nad i, ostatniem wykończeniem i naczelnym akcentem całości.

Poniżej: Kwiaty we włosach i na przegubie ręki na bransoletce z czarnego aksamitu, to jeden z pomysłów tegorocznej mody.



Tegoroczna moda balowa stwarza prawdziwe pole do popisu w tej dziedzinie; piękna suknia, to jeszcze zamało. Aby całość wypadła naprawdę efektownie, musimy dobrać do niej odpowiednią w stylu fryzurę, pantofelki, rękawiczki, torebkę, wachlarz, biżuterję, i — koniecznie jakieś piękne „sortie". We wszystkich tych akcesorjach mamy wybór ogromny, pozostawiający każdej kobiecie możność dobrania sobie tych rzeczy zależnie od gustu i — możliwości finansowej. Najwspanialsze kreacje istnieją w dziedzinie wieczorowych cape'ów i okryć: żakiety i peleryny z białych, popielatych, srebrnych lub niebieskich lisów, pelerynki z nurków, soboli, cudownie lekkiej i puszystej chinchilli, śnieżnych gronostajów — a nawet skromniejszych ale bardzo wytwornych selskinów. Kogo nie stać na futro, może zdecydować się na okrycie z aksamitu, brokatu, lamy, gazy lub tiulu, z którego robi się śliczne lekkie pelerynki z kapturkami.

Rękawiczki balowe wróciły do mody razem z wachlarzem, równie rozmaite i równie powiewne, bo często wykonane z siatki tiulowej lub koronki, haftowane paljetami, strassami w gwiazdki, kropeczki, kokardki itp. Przedwojenny „uśmiech zza wachlarza" wrócił do mody. Kobiety uznały, że do twarzy im z tem wszystkiem, co podkreśla ich kobiecość i tajemniczość: dlatego na twarz zarzucają wualki i welony, kryjąc je jeszcze za wachlarzem.

Pantofelki wieczorowe, to istne poematy kunsztu szewskiego i — jubilerskiego. Tak, gdyż zdobi się je hojnie strassami i kolorowymi kamieniami szczególnie obcasy i sprzączki od sandałów. Modne są również sandałki i pantofelki sznurowane wstążką lub złotą taśmą wysoko, aż ponad kostkę, czasem do kolan. Kobiety niewysokiego wzrostu hołdują też chętnie modzie antycznych koturnów, które zawładnęły salą balową po wspaniałym okresie powodzenia w lecie na plaży.

Tak suknie jak i włosy, a nawet balowe torebki, przybiera się chętnie kwiatami. — Nosi się je również na wąskiej aksamitce zamiast bransoletki na ręce. Jest to moda ładna i kokieteryjna.

Biżuterja wieczorowa przeżywa swój pełny renesans. Wszystko jest modne: począwszy od bezcennych kolji z prawdziwych kamieni, poprzez biżuterję antyczną, aż do zupełnie nowoczesnej dekoracyjnej biżuterji z kamieni pół-szlachetnych, a nawet z imitacji.

**Lady Like.**



Na prawo: Najpiękniejszem bezwzględnie i najkosztowniejszem okryciem wieczorowem jest lekki a ciepły cape z szynszyli.

# PRZEPISY

*odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.*

**ZUPA SZPINAKOWA.** Garstkę młodego szpinaku obranego (około 10 dkg) gotuje się w słonej wodzie, nie przykrywając garnka przez 5—6 minut następnie odcedza i przeciera go przez sito. Zrumienioną lekko zasmażkę z łyżki świeżego masła i łyżki mąki miesza się z przetartym szpinakiem i rozprowadza rosołem z kości cielęcych. Do wazy daje się parę łyżek kwaśnej śmietany, rozciera ją z żółtkiem, wlewa gotującą się zupę, mieszając, aby się śmietana nie ścięła. Jako przyprawę daje się do zupy wedle gustu albo pół ząbka czosnku dobrze roztartego, lub też troszkę skórki otartej z cytryny. Grzanki smażone na maśle podaje się osobno.

**PASZTET Z RESZTEK DZICZYZNY.** Mięso obrane z kości miele się dwa razy i przeciera następnie przez sito wraz z pozostałym sosem z pod pieczeni. Do przetartej masy dodaje się kieliszek koniaku oraz kilka łyżek ubitej na pianę śmietanki kremowej i uciera na lodzie na pulchną, jednolitą masę. 15 dkg ozora lub szynki kraje się w kostkę i dorzuca do masy. Wkońcu dodaje się pół szklanki auszpiku lub 5 listków żelatyny, rozpuszczonej w troszce gorącej wody. Formę kamienną lub porcelanową wylewa się auszpikiem i wykłada różnemi piklami, plasterkami cytryny, grzybkami itp., poczem nakłada się dobrze wymieszaną masę pasztetową i zastudza w lodzie. Przed wydaniem na półmisek okłada się formę na chwilkę ściereczką umaczaną w gorącej wodzie, aby pasztet gładko wypadł. Osobno podaje się sos tatarski.

**BOEUF A LA MODE.** Pieczeń tę, zwaną też sztufadą, sporządzać można z polędwicy lub też zrazówki. Główna rzecz, dobry gatunek mięsa z wołu tucznego. Mięso powinno odleżeć się 2—3 dni skropione octem i obłożone korzeniami i plasterkami cebuli. Przykryte talerzem obciąża się je ciężarkiem. Tuż przed użyciem obsusza się mięso ściereczką, szpikuje gęsto słoninką i opieka szybko z wszystkich stron na rozpalonem maśle, poczem dolewa się troszkę białego wina lub bajcu i dusi pod przykrywą, nie odkrywając mięsa o ile możności. Kiedy mięso jest już miękkie, wyjmuje się je na półmisek a do sosu dosypuje się garstkę tartego chleba, podlewa wodą i zagotowuje. Przestudzone mięso kraje się w niezbyt cienkie plastry, zestawia z powrotem w całość i oblewa sosem, przetartym przez sitko. Do pieczeni tej stosuje się duszona czerwona kapusta. Sztufada jest też dobra na zimno, w którym to wypadku podaje się do niej zimną sałatkę z białej i czerwonej kapusty lub fasolkową z ziemniaczkami. (Przepisy na te sałatki podawane były w „Asie" niedawno).

**LINY SMAŻONE.** Oczyszczone i wymyte zewnątrz i wewnątrz ryby należy wzdłuż przekroić, wyjąć kość grzbietową i pokrajać na porcje. (Głowy, ogony i wnętrzności mogą posłużyć na zupę). Dwa jaja, 10 dkg mąki, 4 łyżki mleka, łyżkę octu i pół łyżeczki soli ubija się na lane ciasto, dość gęste, aby się na rybie utrzymało, ewent. można dolać mleka lub dosypać mąki. Posolone dzwonka ryb osmaża się z obu stron na oliwie lub maśle 5 minut z każdej strony i odkłada; przestudzone oblewa się ciastem i smaży na rumiano. Podaje się szybko, aby ciasto nie zwilgło. Osobno sos mousseline.

**SOS „MOUSSELINE".** Dwa żółtka uciera się w garnuszku z troszką soli i białego pieprzu, dolewa dwie łyżki wody, wstawia do większego naczynia z gorącą wodą i ubija na ogniu na gęsty krem. Po odstawieniu z ognia dodaje się 10 dkg masła deserowego po kawałeczku, ciągle ubijając, aż całe masło wyjdzie, poczem przystawia się jeszcze raz na ogień i ubija dalej, aż się sos zacznie podnosić. Łyżeczka soku cytrynowego może być dodana dla amatorów ostrzejszych sosów.

**PARYSKIE PTYSIE.** Pół szklanki mleka i tyleż wody zagotowuje się z łyżeczką masła i odrobiną soli. Wśród gotowania sypie się na wodę 12½ dkg mąki i ubija na ogniu aż się ciasto od ścian naczynia odrywa, po ostudzeniu wbija się 4 jaja po jednemu, pilnie mieszając. Łyżeczką umaczaną w maśle wykłada się małe kawałki na rozgrzane, lecz nie rozpalone masło, smażąc ptysie powoli tak, aby miały czas narastać. Smażenie jest inne, niż stosowane do pączków, gdzie tłuszcz musi być rozpalony, aby wyrośnięte ciasto zaraz się ściągło. Należy sposób wypróbować na jednym kawałku. Wysmażywszy jedną partję ptysi przestudzić należy tłuszcz, zanim się dalszą część na nim wyłoży. Wysmażone ptysie układa się kopiato na talerzu, oblewa rozgotowaną marmoladą morelową lub truskawkową i posypuje drobno siekanemi zielonemi pistacjami.

**PTYSIE Z BITĄ ŚMIETANĄ.** Tak samo przygotowane ciasto wykładać można na posmarowaną masłem blaszkę i upiec w piecyku. Upieczone i wystudzone przekrawuje się i napełnia bitą śmietaną lub pianką, utartą z 2 łyżek marmolady i jednego białka.

**PONCZ BANANOWY.** 4 banany bez łupki kraje się drobno, miesza z 40 dkg cukru i dodaje sok z 2 dużych pomarańcz. Mieszaninę tę odstawia się na kilka godzin, następnie nalewa na nią pół szklanki rumu i pół litra reńskiego lub francuskiego lekkiego wina. Ponczem napełnia się szklaneczki i stawia je na lodzie.

**Sc. Ko.**



# NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Smaczne „pommes frites" łatwo się stosunkowo przyrządza, ale krajanie ich w cienkie płateczki sprawia nieco kłopotu. Unikniemy go, używając specjalnej maszynki do krajania ziemniaków, która reguluje wielkość płatków wedle woli gospodyni.

# 7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

*Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.*

Święta rzym.-kat. | Tydzień 7

**Luty** — Dni 28



**Niedziela 12** (Eulalii)
Zupa z drobiu. Grzybki na muszelkach. Pularda z groszkiem zielonym. Ptysie paryskie.
Kolacja: Pasztet z resztek dziczyzny z sosem tatarskim.

**Poniedziałek 13** (Katarzyny)
Rosół z lanem ciastem. Ziemniaczki w szlafroczkach. Polędwica wieprzowa z kapustą. Biszkopt z sokiem.
Kolacja: Kapusta faszerowana.

**Wtorek 14** (Walentego)
Zupa szpinakowa. Salsefia w sosie beszamelowym zapiekana. Boeuf à la mode z makaronem. Kompot mieszany.
Kolacja: Zimna sztufada /z obiadu/ z sałatką.

**Środa 15** (Faustyna)
Zupa z porów z grzankami. Rizotto z szynką. Kotlety wieprzowe siekane z ostrym sosem i ziemniaczkami. Sałatka owocowa.
Kolacja: Ozorki cielęce w szarym sosie.

**Czwartek 16** (Juljany p.)
Kapuśniaczek z kiełbasą. Omlet z grzybkami. Nerkówka cielęca z ryżem i marchewką. Legomina grysikowa.
Kolacja: Wątróbka cielęca duszona.

**Piątek 17** (Aleksego)
Barszcz zabielany z ziemniaczkami. Makaron z parmezanem wypiekany. Linki smażone w cieście z sosem "mousseline". Knedelki drożdżowe z morelami.
Kolacja: Marynowany śledź.

**Sobota 18** (…wiana)
Rosół z grysikiem. Fasolka z masłem. Kotlety wiedeńskie z fritkami i kalarepką. Kompot.
Kolacja: Parówki z chrzanem.



# BIAŁY
# TYDZIEŃ HUMORU

### ZWIERZENIA NA LODZIE.



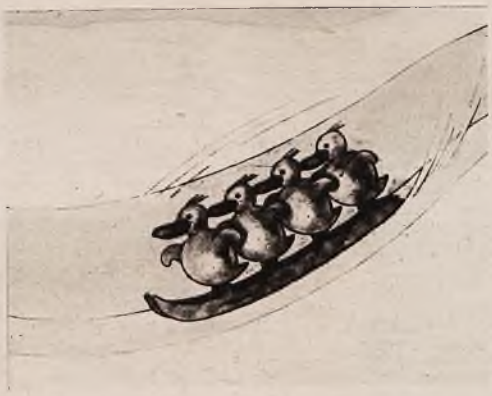
— Wiesz, mój kochany, muszę ci coś wyznać: wierność przyrzekałam już kilku mężczyznom i napewno byłabym dochowała przysięgi, gdyby zawsze nie wszedł mi ktoś w drogę!

### W WIEKU WYNALAZKÓW.



Oto praktyczne zabezpieczenie się narciarza przed zderzeniem się z drzewami...

### ZIMOWE SPORTY ZWIERZĄT.



Kaczki jadą na bobsleju...



Żurawie na nartach...



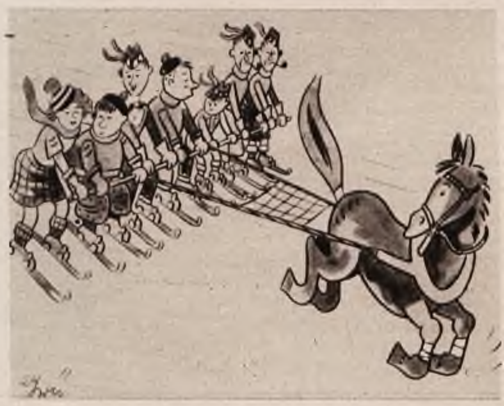
...a sowy na łyżwach!

### SZCZYT ROZTARGNIENIA.



— O, do djabła! zapomniałem założyć narty...

### SZKOCI UPRAWIAJĄ SPORT... „MASOWO"



Praktyczne urządzenie w uprawianiu skjöringu. („Lustige Blätter")

## *Rozwiązanie z Nru 6-go.*

**TURNIEJ SZACHOWY.**

W turnieju brało udział 21 graczy.

**CIĘŻKI ORZECH DO ZGRYZIENIA.**

Liczby są następujące:

210 = 1 . 3 . 7 . 10
252 = 1 . 4 . 7 . 9
378 = 2 . 3 . 7 . 9
630 = 3 . 5 . 6 . 7

1470

**RYBOŁÓWSTWO.**

Ryba przebędzie 2 m 20 cm.

**TRZECH PRZYJACIÓŁ.**
**(Ćwiczenie logiczne).**

Jan był rzeźbiarzem i malarzem.
Józef muzykiem i poetą.
Jarosław ogrodnikiem i matematykiem.

## ROZRYWKI UMYSŁOWE

**PROPOZYCJA P. PARADOKSA.**

— Nasz zespół wygląda b. nieszczególnie — rzekł reżyser do p. Paradoksa.

— Tak. Bo mamy tylko 8 girlsów — odparł p. Paradoks. — Ale mam świetną myśl. Czy był pan kiedyś w restauracji „Bachusa", w tej z lustrzanemi ścianami?

— Owszem, byłem. Ale co z tego?

— A bo widzi pan, jeśli ludzie tam siedzą przy jednym stoliku, to widzi się ich odbitych w lustrach nieskończoną ilość razy. Otóż sądzę, że umiemy zrobić to samo z naszym zespołem. Ustawię wielkie lustro z tyłu sceny — równolegle do pierwszego rzędu krzeseł, a wtedy, panie reżyserze, będziemy mieć nie osiem chudych girlasków, ale rzędy i rzędy dziewcząt. To jest wspaniała myśl, jak się panu podoba?

Reżyser jednak nie przyjął pomysłu p. Paradoksa. — Dlaczego?

**A, B, C I D.**

Jeżeli A A A dodamy do B B B, wówczas otrzymamy C C C D. Jeśli tę sumę podzielimy przez A, wówczas otrzymamy A B D.

Proponujemy Czytelnikom podstawić odpowiednie cyfry za A B C i D.

**W POCIĄGU.**

P. Paradoks, jadąc pociągiem, rzekł do swej żony:

— Więcej jest przedziałów w tym pociągu, niż pasażerów w którymkolwiek przedziale. Wobec tego przynajmniej w dwóch przedziałach musi być ta sama ilość podróżnych.

— Niekoniecznie słusznie rozumujesz — odparła żona.

Kto miał rację? Pan Paradoks czy też jego żona?

# O tak! – to warto

## zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



## NA SCENIE

**WARSZAWA.** Z inicjatywy Wilama Horzycy Teatr Nowy w Warszawie wystąpił z bardzo oryginalną premjerą: wieczorem jednoaktówek. Wystawiono komedję Cyprjana Norwida „Miłość — czysta u kąpieli morskiej“, komedję Tadeusza Rittnera pt. „Odwiedziny o zmroku“ oraz „rzecz dramatyczną“ Józefa Czechowicza pt. „Czasu Jutrzennego“. — Inscenizacja spoczywała w rękach Horzycy, rozplanowanie sceny i dekoracje projektował Andrzej Pronaszko, wszystkie jednoaktówki opracował reżysersko Aleksander Zelwerowicz.

Ten wieczór literacki i artystyczny spotkać się musi z dużem uznaniem, odkrywa bowiem zapomniane, zupełnie nawet nieznane, wysoce wartościowe „drobiazgi“ twórczości Norwida i Rittnera, daje równocześnie debiut sceniczny jednego z najwybitniejszych poetów młodego pokolenia, J. Czechowicza. Wieczór ten jest dla widzów i słuchaczy syntezą trzech epok naszej literatury dramatycznej, okresu romantycznego, młodopolskiego i współczesnego.

W programie teatralnym niezwykle ciekawe uwagi o tych trzech utworach kreśli Wilam Horzyca, pisząc m. in.: „Trudno wyobrazić sobie większy dystans, niż między Norwidem a Rittnerem, jednak jest coś, co łączy obydwa te utwory „Miłość — czystą“ i „Odwiedziny“: to zagadnienie witalności. Tylko, gdy Norwid nad witalizmem swojej epoki zawiesza znak zapytania, Rittner mimo całej komedjowości spojrzenia, głosi witalizm jako wyznanie wiary swych czasów...“ Pisząc o Czechowiczu zaznacza Horzyca głęboko ideowe walory jego utworu, wyprowadza rodowód „Czasu Jutrzennego“ z pięknych tradycyj dramatu polskiego, uważając, że jeśli idzie o formę, bliski jest Czechowicz twórczości dramatycznej Micińskiego.

## NOWE KSIĄŻKI

**Alfredo Panzini: „Latarka Diogenesa“. Książnica-Atlas, Lwów — Warszawa.**

Świetny pisarz włoski **Alfred Panzini** jest niestety prawie nieznany publiczności polskiej. O ile się nie mylę, jedynie przekład jego powieści „Szukam żony“, wydany lat temu kilkanaście w Krakowie, zyskał sobie popularność — o innych utworach z bogatego dorobku Panziniego nic mi nie wiadomo, czy były kiedykolwiek tłomaczone. Dopiero teraz obdarza czytelnika wyborną książką tego autora **Książnica—Atlas**, zapowiadając równocześnie wybór najlepszych utworów literatury włoskiej. Tą książką Panziniego, która powinna spotkać sią u nas z wielkiem rozpowszechnieniem — jest **„Latarka Diogenesa“** (przekład **Gabrieli Pianko)**, właściwie nie powieść, raczej studjum — studjum o indywidualizmie człowieka. Jakto? pisarz włoski o indywidualizmie! Zapewne, brzmi to w obecnej epoce nieco dziwnie — ale „Latarka Diogenesa“ ukazałą się dobrych parę lat przed wojną! Tematem jej jest bezpretensjonalna i beztroska wycieczka nauczyciela — którym zresztą był Panzini — rowerem po prowincji włoskiej, przez mało znane miejscowości i opis nietylko krajobrazu, pełen poezji, ale typów ludzi, spotykanych przez autora, typów nieraz nieważkich, szarych, zwykłych, mniej niż zwykłych — ale jednak ludzi z jednakiem prawem do życia. Patrzy na nich Panzini głębokiem spojrzeniem filozofa, wykształconego na starorzymskim poglądzie na świat, pełnego klasycznego spokoju i klasycznej poezji. Nie stawia wielkich problemów: nieraz lampka wina więcej znaczy, niż wszystko inne, jeżeli tak się właśnie złożyło. Prawo do tej lampki wina, prawo do ciszy, do osobistego szczęścia, prawo do robienia, co się chce — oto zasady Panziniego. Przedgłosem przyszłości jest jego spotkanie się z socjalizmem na wsi, którego pierwsi pionierzy noszą... czarne koszule. Jakże bardzo ta książka pobudza do zastanowienia się nad odwieczną, bolesną prawdą życia, że zdobywając wiemy, co zdobyć chcemy, ale nigdy nie wiemy, co zdobędziemy... **W. Z.**

**Massino Bontempelli: „Adria — dzieje kobiety pięknej“. Książnica-Atlas, Lwów — Warszawa.**

W świetnym przekładzie **Zuzanny Rabskiej** otrzymał czytelnik polski dalszy tom z wydawanego przez **Książnicę — Atlas** cyklu najlepszych utworów współczesnej literatury włoskiej. Ściśle biorąc, nie są to rzeczy współczesne, chociaż pisane w ostatnich latach trzydziestu. Pisane jednak były w epoce tak odmiennej, że czytamy je jakby nie były współczesne. **Bontempelli** mógł wtedy pisać **„Adrię“**, te przedziwne **„Dzieje kobiety pięknej“**, książkę najzupełniej oderwaną od życia i od jego możliwości. Czyta się tę książkę jako rzecz zupełnie nierealną. Jest to hymn na cześć pięknej kobiety zakochanej w swej piękności, kobiety ślepej na wszystko, poza tą pięknością, która zresztą wskutek tego wyznacza jej całkiem nierealna drogę przez życie. Na ołtarzu swego narcyzmu składa ona wszystko — męża, dzieci, wkońcu własne życie. Niewątpliwie Bontempelli jako wnikliwy psycholog pragnął w formie tego przedziwnego opowiadania zawrzeć jakiś morał, ale czyni to w taki sposób, że pozostawia wolną rękę czytelnikowi — po przeczytaniu „Adrji“ każdy może sobie pomyśleć, co chce, jak mu się podoba, czy jak mu jest wygodniej. „Adrja“ jest jedną z najoryginalniejszych powieści, jakie wydała literatura wczesnych lat powojennych, a w dorobku autora „Wycieczki na tęczę“ i „Syna dwu matek“ zajmuje odrębną, ciekawą pozycję. **W. Z.**

## KONKURS NA TLE KONKURSU

Podczas odbywającego się w Warszawie kursu księgarskiego został zorganizowany konkurs wystaw księgarskich, a jednocześnie śród uczestników kursu urządzono konkurs na napisanie najlepiej umotywowanych ocen wystaw okiennych.

Obecnie sąd konkursowy, składający się z prof. Bolesława Pisarkiewicza, v. prezesa Koła Warszawskiego Z. K. P., p. Stanisława Kowalczyka, dyr. Feliksa Pieczątkowskiego i red. Adama Szymańskiego rozpatrzył prace 32 uczestników i uczestniczek przyznając nagrody pracom następującym: nagrodę I p. Janowi Wyderce z Warszawy, nagrodę II p. Annie Jasielskiej ze Stanisławowa, nagrodę III p. Lubie Goldlust z Kielc, nagrodę IV p. Karolowi Giliowi z Poznania.

## NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

**Niedziela, 12 lutego.**

12.03 Poranek symfonicz. z Łodzi. W przerwach transm. fragmentów narciarskiego biegu zjazdowego w Zakopanem.
16.30 „Ze śpiewnika Moniuszki“, koncert.
17.00 Recital skrzypcowy Ir. Dubiskiej.
21.00 Transmisja z biegów zjazdowych pań i panów z Zakopanego.

**Poniedziałek, 13 lutego.**

12.03 Aud. południowa. W przerwie bieg sztafetowy, z FIS.
13.30 Symfonja klasyczna — audycja klasyczna dla liceów.
16.35 Recital fortepianowy Melanji Sacewiczowej.
19.00 Transm. z Zakopanego narciarskiego biegu sztafet.
19.20 Koncert rozrywkowy.
21.00 „Zima“, część II oratorjum „Cztery pory roku“ Haydna.

**Wtorek, 14 lutego.**

15.30 Muzyka obiadowa z Wilna.
16.30 Recital Janiny Hupertowej.
19.00 Slalom, rozdanie nagród, — transmisja z Zakopanego.
19.25 Koncert rozrywkowy.
22.00 „Przechadzki ateńskie“ — „Naokoło Panteonu“.
22.25 Recital skrzypcowy R. Odnoposowa.

**Środa, 15 lutego.**

12.03 Aud. południowa. W przerwie transm. biegu narciarskiego (z FIS).
16.35 Minjatury kwartetowe, koncert.
17.15 „Folklor różnych krajów“, audycja muzyczna.
19.00 Transm. z Zakopanego biegu narciarskiego na 18 km.
19.15 Melodje wiedeńskie.
21.00 Opowieść o Chopinie: „Ballady“.
21.45 „Poezja wieku złotego“ — audycja literacka.

**Czwartek, 15 lutego.**

12.03 Audycja południ. W przerwie transmisja narciarskich skoków złożonych z Zakopanego.
17.45 „F. I. S. — Bilans narciarskich zawodów złożonych“.
18.30 Muzyka lekka i poważna.
19.00 „F. I. S.“ — transmisja skoków narciarskich
19.20 Koncert rozrywkowy.

**Piątek, 17 lutego.**

12.03 Aud. południowa. W przerwie transm. z Zakopanego narciarskiego biegu patrolowego.
16.35 Robert Schumann: „Obrazki karnawałowe z Wiednia“.
17.15 Recital wiolonczelowy Bernarda Michelina.
18.30 „Miłość, dar nieba zbyt drogi“ — „Kurant staroświecki“.
19.00 „F. I. S.“ — transm. narciarskiego biegu patrol.
21.00 „Loterja“ — fraszka Moniuszki.

**Sobota, 18 lutego.**

15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa.
16.35 Recital fortepianowy Aliny van Barentson.
17.35 „Canzonetty i madrygały“ Palestriny.
19.00 Transm. z Zakopanego narciarskiego biegu na 50 klm.
21.00 „W ostatnią sobotę karnawału“ — muzyka taneczna. W przerwach trzy skecze.

**Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwrac**
**Wszelkie materjały redakcyjne należy przesyłać nieimiennie pod adresem redakcji „ASA“**
**Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.**

Zakłady Graficzne „I. K. C.“, Kraków, Wielopole 1, pod zarządem Franciszka Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1